Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII. Niedziela, dnia 26 lutego 1939 r. Nr. 9



WITOLD ZECHENTER

9.

Avaxara

POWIEŚĆ

— Nazwisko jego?

— Jerzy Onpeut —

— Onpeut? Cóż to za nazwisko?

Onpeut — on peut — można — nazwisko zmyślone, głupi żart!

Głos mówił dalej:

— Adres: 20, rue Corneille...

20, rue Corneille! Detektyw znał dobrze tę uliczkę — swego czasu kochał tę uliczkę — w Hotelu Corneille pod numerem 5 tej ulicy mieszkała — Wiedział, że uliczka ta ma wszystkiego 5 czy 6 kamienic, numerowanych z lewej strony, a z prawej teatr Odéon! Adres zmyślony!

— Dziękuję — mruknął wściekły i zawiesił słuchawkę.

Pan Można! Mieszkający w nieistniejącym domu!

— Onpeut? — spytał dyrektor.

— On ne peut pas! nie można mieszkać pod dwudziestym numerem przy ulicy, która wcale nie ma prawej strony!

— Jakto?

— Bo po prawej ma tylko nr. 2 — teatr Odéon!

— Fałszywy adres?

I durny witz z nazwiskiem. Zatelefonuję jeszcze do „L'Intran".

Na zapytanie detektywa dano identyczne odpowiedzi — jedna tylko różnica: nazwisko brzmiało w tym wypadku Peutêtre — peut - être — może!

— Ha! — ryknął detektyw. — Ale odpokutuje pan za to, panie Można i panie Może!

— Wątpię, czy odpokutuje tak jak na to zasłużył...

— Jakto?

— To chytra sztuka. Te porwania — to był jakiś żart, słowo daję — w jakimś celu, którego zrozumieć nie mogę.

— Za taki żart, jak pan to nazywa, nie ma kary?

— Jest — ale —

— Ale?

— Tu będą jakieś kruczki... jakieś okoliczności... Sami wyjaśniają...

Detektyw nagle zerwał się energicznie.

— Ale ja — wcześniej!

— Co pan wcześniej!

Dyrektor zrobił gest niedowierzający, lecz detektyw nie zważał na to.

Musi! Musi w ciągu tej nocy wykryć prawdę!

Jedyna droga do wykrycia prawdy prowadzi przez pana Alfreda Véry!

Jedyna droga do wyłowienia pana Alfreda Véry prowadzi przez dyrektora Devadatte, z którym się wczoraj umówili na godzinę trzecią...

ROZDZIAŁ 20.

11, RUE DU HAVRE

— Zdrowie pana Véry!

— Dziękuję!

Trącili się kieliszkami, w których pieniło się „Asti".

— Niech się pan krzepi winem — zażartował dyrektor Devadatte — bo jutro będzie pan potrzebował dużo sił!

— Do czego?

— Do przejścia z policją!

Pan Véry roześmiał się.

— Będzie to wyjątkowy wypadek: oskarżony zyska sobie swymi występkami sławę i poklask ogółu — tak sądzę!

— Z pewnością! — rzekł pan Riderot senior.

— Ja także! — dodał pan Riderot junior. — Tylko, panie Véry — jeszcze raz przypominam: praca tylko dla nas!

Véry wzruszył ramionami:

— Zadłużyłem się przecież na konto tej pracy u panów!

— Tak, ale potem... Bo jestem pewny, że będzie pan miał tysiące ofert i zgłoszeń z całego świata!

Véry śmiał się zadowolony.

— Swoją drogą — rzekł dyrektor Devadatte — takiego pomysłu nie było jeszcze w dziejach reklamy.

— Nie było! — przyświadczyli bracia Riderot, a junior napełnił znów kieliszki.

Dyrektor rzekł po chwili:

— Ale jaka kara grozi panu Véry?

Véry machnął ręką:



Zaduma

— Drobiazgi! Rok więzienia! Ale nie dadzą mi tyle! Będą śmiać! Może grzywnę mi wsadzą — to wszystko!

— Każdą sumę zapłacimy za pana natychmiast! — rzekł pan Riderot senior. — Trzeba dążyć do tego, by nie było kary więziennej.

— Mamy świetnego adwokata — rzekł junior — mój przyjaciel Dr. Volbert potrafi obronić nawet notorycznego bandytę.

— Aleście to panowie wszystko świetnie obmyślili! — rzekł dyrektor.

— To pan Véry — o wszystkim myślał, wszystko ułożył, wszystko wykonał!

Véry uśmiechnął się skromnie.

— Mam też za to nagrodę — rzekł spojrzawszy znacząco na dyrektora.

Ten wykonał gest proszący o nieprzypominanie mu pewnej sprawy, o której prawie że zapomniał w fantastyce dwu ostatnich dni.

— Więc role już ułożone — rzekł Véry. — Pan — zwrócił się do Riderot juniora — uda się o dziesiątej do trzech pism południowych z naszym ogłoszeniem — wyjaśnieniem. Ja zaś i pan — spojrzał na seniora — pójdziemy o dwunastej oddać się w ręce policji — to znaczy ja — a pan tylko jako świadek. Pan zaś, dyrektorze, jeśli chce pan już jutro koniecznie iść do banku, będzie pan milczał jak grób aż do godziny dwunastej, prawda?!

— Naturalnie — nic nie wiem — śmiał się dyrektor. — Do ukazania się pism południowych nie będę wiedział, co się ze mną działo od wczoraj od godziny trzeciej.

— Jeszcze jedno — rzekł nagle pan Véry.

— Cóż takiego?

— Chodzi o Robert-Robert...

— O Robert-Robert?

— Jak wiecie panowie, on prowadzi śledztwo... I — nic nie wie... I jak wszyscy dowie się dopiero z jutrzejszych pism południowych... Będzie to straszny cios dla znanego detektywa... Czy nie można by powiedzieć mu tego wcześniej?

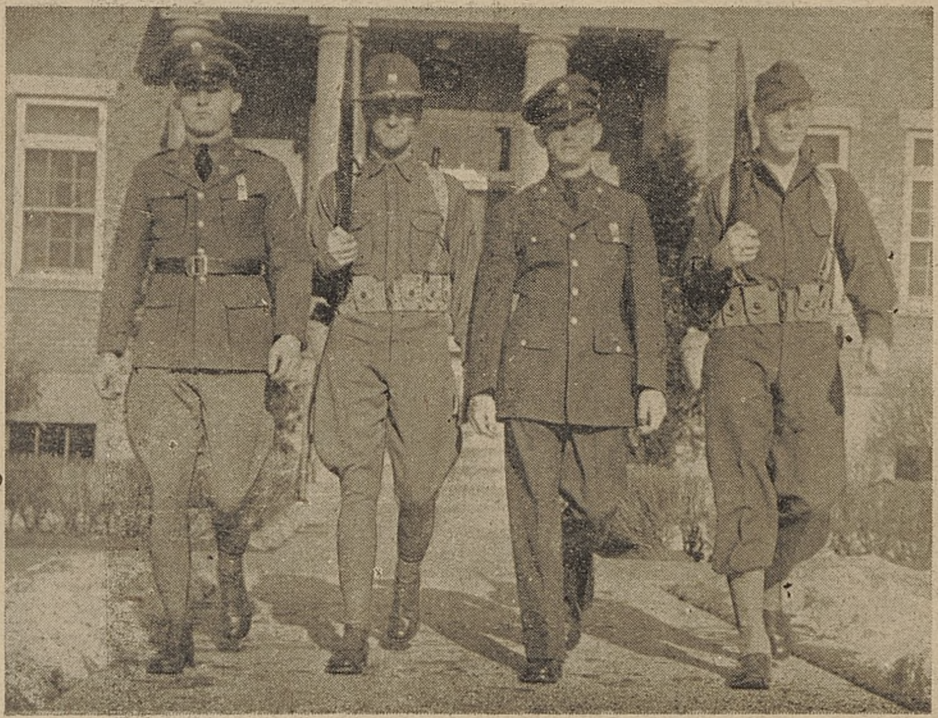
— Jakto?

— Gdyby na przykład poprosić go tutej prywatnie jutro rano i opowiedzieć mu wszystko? Można by mu zaproponować pewien układ: powiemy, że on sam wpadł na pewne rzeczy, że on częściowo przynajmniej wykrył nas...

— On się na to nie zgodzi — rzekł pan Riderot senior.

— Przypuszcza pan?

— Ambicja... I stanie się tym zawziętszy... A my już i tak będziemy mieli du-



Armia amerykańska otrzymała nowe umundurowanie. Na zdjęciu nowe mundury (dwa na prawo) w porównaniu z dotychczas używanymi

żo korowodów z policją za porwanie dyrektora Lafettal.

— Tak! — oświadczył brat.

— Dlatego też — rzekł Véry — trzeba odpowiednio usposobić Robert-Robert.

— Ale jak?

— Tak, jak mówię... Niech wie, zanim inni się dowiedzą. To samo już go usposobi przychylniej. Będzie mógł wyśmiać się w cztery oczy z nami, a o dwunastej, gdy wszyscy będą ryczeć, on będzie już mógł zachować powagę policjanta... A tak nie mógłby nawet uśmiać się z tej sprawy.

Dyrektor Devadate rzekł po namyśle:

— Ma pan rację...

— Prawda?

— Wezwijcie detektywa...

— No dobrze — zgodzili się bracia Riderot, jak zgadzali się na wszystko, co zaproponował pan Véry.

— Ale kiedy?

— Jutro rano.

— Dlaczego nie zaraz? — spytał dyrektor.

— Teraz?

— A jeżeli on jednak wpadnie na nasz ślad w ciągu dzisiejszej nocy? Nie da się nam wyspać porządnie!

— Nie wpadnie!

— Skąd pan taki pewny?

— Nie wpadł dotychczas — nie wpadł, gdy porwaliśmy mu jego szefa sprzed nosa, nie wpadł, gdy porwaliśmy mu w jego oczach — co za zbieg okoliczności! — kelnera Ramon — nie złapał nas przy domu Dra Gruenbauma — nie, to niemożliwe! Zrozumcie, panowie — Véry zapalił się — zrozumcie, panowie, że ja zaszachowałem policję jedną rzeczą: moją naiwnością!

— Co?

— Tak! Naiwnością roboty... Gdybym postępował jak zbrodniarz, Robert-Robert złapałby mnie w godzinę po uprowadzeniu posła de Ronet! Złapałby nas natychmiast! Gdybym używał tych ciemnych metod — tego tajenia się, podkradania, ukrywania się — i tak dalej. Ale ja — nie! Ja występowałem otwarcie! Odwoziliśmy nasze biedne ofiary do miejsca, z któregośmy je uprowadzili, conajwyżej nie podjeżdżając od frontu! Co za bezczelność — i co za naiwność! Tego nie mógł przeczuć detektyw Robert-Robert! Używaliśmy tego samego auta — raz tylko zmieniłem po uprowadzeniu dyrektora numer naszego Buicka! Raz tylko zmiana charakteryzacji — za gorąco było mi w mojej brodzie — zrzuciłem ją! Pan — zwrócił się do Riderot juniora — zrzucił też swoją, gdyśmy odwozili dyrektora na napoleońskie schody Palais de Justice. Występowaliśmy w dzień zupełnie jawnie! Od wczoraj południa nie jeździmy już naszym Buickiem — no, ale to są te minimalne środki ostrożności! Zato ja idę — tuż po odstawieniu przemysłowca pod jego dom, gdzie chciano nas złapać, i ścigano nas — idę do banku, rozmawiam z ludźmi, umawiam się z dyrektorem do restauracji — jem obiad z nim i spokojnie jadę taksówką na rue du Havre! Nie panowie, Robert-Robert nas nie złapie! On umie walczyć i walczy świetnie ze zbrodnią — z tymi czarnymi siłami, których psychologia jest mu znana — ale nie umie, nie może umieć walczyć z nami — z naszymi niespodziewanymi posunięciami, z naszą metodą — bo to już była metoda — ze mną — z naszą naiwną bezczelnością, w tych porwaniach i odwożeniach! I nikt go za to nie powinien winić.

Musieli przyznać mu rację. Jednak dyrektor rzekł:

— Niech pan to zrobi dla mnie, panie Véry... Sprowadźcie go teraz... Chcę widzieć jego minę — chcę widzieć, co zrobi — panowie! to są rzadkie rzeczy! nie codzień można się tak ubawić! A jutro — ja pójdę już do banku...

Alfred Véry stał już przy telefonie.

— Dyrektorze — rzekł — jeśli tak, to naturalnie! Wie pan przecież, że dla pana —

Znów to spojrzenie i ten sam gest dyrektora...

— Czemu on wciąż wyjeżdża z tym, że pamięta, podczas gdy ja — myślał dyrektor — chcę zapomnieć...

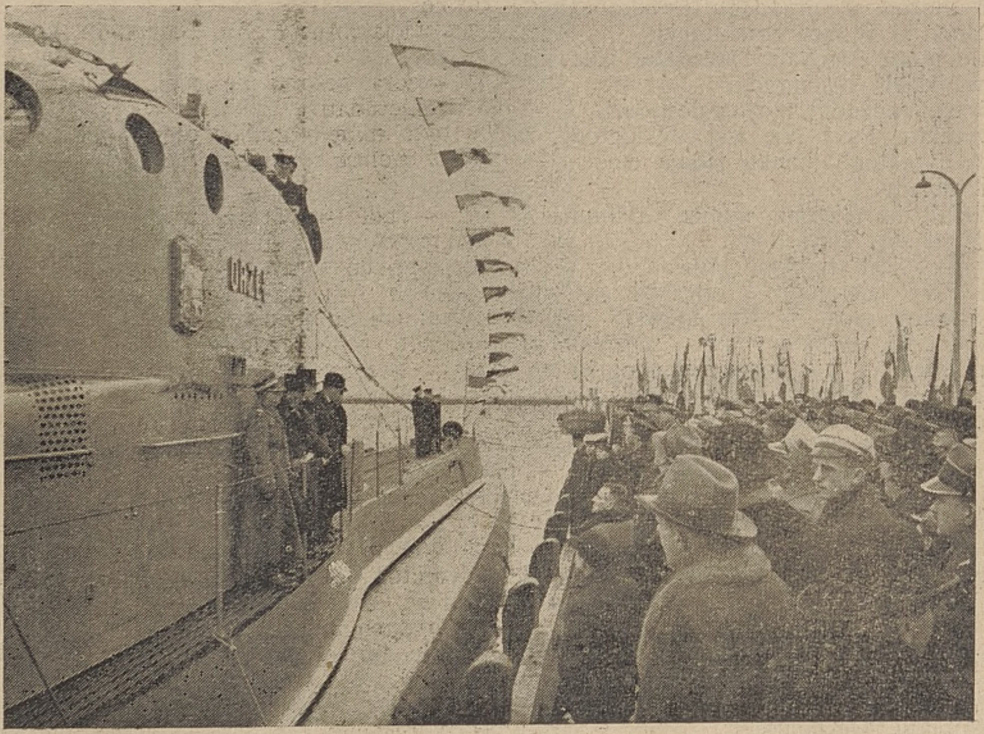
Véry podał już numer oddziału śledczego policji.

— Halo? Proszę do telefonu pana Robert-Robert...

— Jestem — odezwał się chłodno głos — ale głos ten nie dobiegł ze słuchawki telefonicznej. — Jestem — powtórzył głos — niechże panowie otworzą mi drzwi...

W dniu 10 lutego w 10-tą rocznicę odzyskania przez Polskę dostępu do morza i w doroczne święto Marynarki Wojennej odbyła się w Gdyni uroczystość wcielenia do Polskiej Floty Wojennej okrętu podwodnego „Orzeł" im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Kulminacyjnym punktem uroczystości była chwila, gdy gen. Sosnkowski, reprezentujący Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Marszałka Polski Śmigłego-Rydza wszedł na wieżyczkę okrętu i dokonał odsłonięcia srebrnej tablicy stwierdzającej tym samym, że okręt podwodny „Orzeł" został wcielony do Polskiej Marynarki Wojennej. (zdjęcie u dołu.) Na lewo — gen. Sosnkowski na okręcie „Orzeł" w otoczeniu przedstawicieli władz Marynarki Wojennej, oraz Ligi Morskiej i Kolonialnej z prezesem Zarządu Głównego LM. i K. gen. Kwaśniewskim.







W pocie czoła odbywa się ciężka praca nad wydarciem bogactw naturalnych z wnętrza ziemi. Zdjęcie z kopalni złota w Aikawa w Japonii.

ROZDZIAŁ 21

JESTEM!

Jeżeli jedyną drogą do ujęcia zbrodniarza był dyrektor Devadatte, trzeba było po jego tropie dojść na trop Alfreda Véry.

To było jasne!

Ale jak dojść?

Trzeba się było dowiedzieć, gdzie wczoraj o trzeciej godzinie spotkał się dyrektor Devadatte z panem Véry.

Urzędowanie w banku trwa do drugiej — do pół do trzeciej. Gdzie można się umówić na godzinę trzecią?

Na obiad...

Do restauracji...

Dobrze! ale Paryż to nie Versailles, którego dziesięć restauracyj można zwiedzić można w przeciągu kwadransa!

Paryż to tysiące restauracyj!

Ale może dyrektor Devadatte jada stale w jakiejś restauracji?

O tym może się można dowiedzieć.

Dyrektor Pax? Nie jest wykluczone, że dwaj dyrektorzy banku jadają czasem razem obiady.

Podał do telefonu numer „Banque de Paris et des Pays-Bas".

— Czy jest dyrektor Pax?

— Przy telefonie — odezwał się zdenerwowany głos. — Kto mówi?

Widocznie dyrektor Pax — zapewne nie sam jeden — nie spędził spokojnie tego dnia i może zeszedł się na jakąś naradę wieczorną w banku.

— Tu Robert-Robert.

— Ach! to pan! Jest co nowego?

— Będzie — rzekł lodowato detektyw. Gdzie dyrektor Devadatte jada obiady?

— Obiady? — dyrektor Pax był trochę zdziwiony.

— Lub kolacje — lub i to i to — złościł się detektyw. — Wie pan, czy nie?

— Rozmaicie — odrzekł głos.

— Nie wie pan, gdzie się to „r o z m a i c i e" znajduje? Nie jadł pan nigdy z dyrektorem Devadatte?

— Owszem...

— Gdzie?

— U D u v a l'a przy avenue de l'Opéra, ale dyrektor tam rzadko jada. Wiem, że raz chwalił sobie bardzo „B a r t k a"...

— Tę polską restaurację w Q u a r t i e r?

— Tak. Acha, wiem, że jada też często w „C o c h o n d e L a i t"

— Przy rue Corneille?

— Tak. Pozatem nie wiem — ale co pan sądzi o tym ogłoszeniu

— Dziękuję. Nic nie sądzę.

Zawiesił słuchawkę. Znów ta r u e C o r n e i l l e! I ta restauracja, gdzie jadł swego czasu z nią — te dobre chwile.

Poszukał numeru restauracji i podał go do telefonu.

— Łączę...

Za chwilę:

— Restauracja „Au Cochon de Lait"?

— Tak.

— Czy wczoraj nie jadł obiadu u panów dyrektorów Devadatte?

— Nie było mnie wczoraj, ale zapytam się. Pan z policji, prawda? — spytał głos.

— Tak! — odrzekł zniecierpliwiony detektyw. Wszyscy — cały Paryż! — myślą tylko o tej sprawie — o tych pięciu porwanych — i o tym rozwiązaniu jutrzejszym — i o jednym idiocie, o detektywie Robert — Robert! — Halo?

— Był tu wczoraj dyrektor Devadatte.

— Sam?

— Nie Z jakimś młodym mężczyzną.

— Nie wie pan, gdzie udali się potem?

— Nie.

Detektyw zawiesił słuchawkę.

Jest trop — i znów nic!

— Pan chce w ten sposób — zaczął dyrektor Lafettal, lecz detektyw wybiegł już z pokoju.

Błysnęła mu jedna myśl. Czy dwaj panowie po obiedzie w „Świni z mleka" nic uczynili tego, co czynił zawsze on — wtedy

Naprzeciw restauracji pod ogrodem Luksemburskim, stoją taksówki...

MATKI, KTÓRE KARMIĄ...

Swego czasu detektyw odbywał miłe przejażdżki do Bois de Boulogne — do Wersalu — wtedy — z nią.

Wtedy nie miał jeszcze własnego auta, ale miał wielką miłość...

Wsiadł do auta i pojechał w stronę Luksemburgu.

Może pojechali taksówką? Może szofer zapamiętał sobie — nie! to było prawie niemożliwe! — ale jednak.

Na postoju stało osiem aut.

Detektyw rozpytywał szoferów.

Nie, nie pamiętają. Dwu panów — to nic nie znaczy — tak często wożą dwu panów!

Naturalnie! — Detektyw chciał już odejść — gdy nagle jeden z szoferów zapytał:

— Czy jeden z tych panów nie był to gruby, łysy mężczyzna?

— Możliwie — mruknął detektyw. Czterech było łysych — może i piąty był łysy!

— Przypominam sobie teraz — stali długo — coś rozprawiali — jeden był młody. Ten stary odjął kapelusz i ocierał pot z łysiny. Wyglądało, jakby się sprzeczali czy dyskutowali nad czymś...

— No? No?

To było możliwe!

— Potem wsiedli...

— Nie pamięta pan, gdzie ich pan odwiózł?

Szofer myślał długo.

— Przysięgać bym nie mógł — ale zdaje mi się, że rue du Havre...

Rue du Havre! na przeciw Gare St. Lazare!

— A numer? numer?

— Tego to już nie pamiętam...

Detektyw wcisnął w rękę szofera papierek 10-frankowy i szybko wskoczył do swego auta.

Rue Corneille — place de l'Odéon — rue de l'Odéon — rue de l'Ancienne Comédie — quais — most — Louvre — avenue de l'Opéra — bulwar Hassmanna — rue du Havre...



W manewrach floty amerykańskiej wzięły udział wycofane już z użytku starego typu krążowniki. Na zdjęciu jeden z nich na tle drapaczy nieba Nowego Jorku.

Nieduża ulica. Detektyw obszedł uważnie domy.

Dwie tylko były bramy szerokie, gdzie mogło się zmieścić auto: były to kamienice Nr. 2 i Nr. 11.

Nagle usłyszał gwizd lokomotyw...

Pomyślał:

— Jak tamci!

Coś mu kazało wierzyć, że to tu... że tu...

— Naprzód 1, potem 2.

Wszedł.

Szeroka sień.

Niezaprzeczalne ślady auta na kamiennej posadzce...

Podwórzec — a tam

Garaż...

Zamknięty. Szkoda. Czy nie stoi tam czarny, elegancki Buick?

Wrócił do sieni i wszedł na schody.

Na parterze drzwi jakiegoś sklepu.

Pierwsze piętro.

Dwoje drzwi. Na jednych z nich duży szyld:

„AVAXARA"

— Co to ma znaczyć „AVAXARA"? — pomyślał detektyw. — Nigdy nie słyszałem takiej nazwy.

Spod drzwi wychodziło prószenie się światła.

I jakieś głosy.

Detektyw przycisnął ucho do drzwi.

Słuchał...

Słuchał i —

Tak...

To tu...

Powoli odróżniał głosy — słyszał coraz lepiej.

A, łotry!...

Ale po chwili... czy jednak łotry?...

Słyszał słowa, ale — cóż z tego, gdy nic nie rozumiał!...

Jutro stawi się na policję?

Nazwiska: Véry! Devadatte!

I potem w końcu, po długiej przerwie wygłoszonej płomienie przez tego Véey — z której zresztą był zadowolony! Przecież to była obrona jego talentów! — w końcu:

— Proszę do telefonu pana Robert — Robert...

— Jestem! — rzekł detektyw, starając się nadać swemu głosowi barwę chłodną barwę władzy — barwę, jaka przysługuje głosowi detektywa, który jednak odkrył — detektywa Robert — Robert! — Jestem — powtórzył w ciszę która zaległa za drzwiami — niechże panowie otworzą mi drzwi...

ROZDZIAŁ 22

„AVAXARA"

— A nie mówiłem? — spytał dyrektor Devadatte.

— Wspaniały efekt — mruknął pan Alfred Véry i miał minę, jakby chciał wybuchnąć śmiechem. Zawiesił słuchawkę zamienioną w jedno domaganie się: „Kto mówi? Kto mówi? Kto mówi?" (biedny zdenerwowany dyrektor Lafettal!) — i podszedł do drzwi.

Przekręcił klucz i otwarł drzwi.

— Proszę pana — rzekł uprzejmie.

Detektyw wszedł.

To on — Véry! Ten gruby, łysy — to Devadatte! I dwaj panowie w wieku około 35 lat.

— Przepraszam — rzekł lodowato detektyw — jeżeli przyszedłem o parę minut za wcześnie...

— Nie szkodzi! — odrzekł uprzejmie pan Véry i naprawdę z trudem powstrzy-



ŻYTO

Wspomnienie słodkie nieraz w duszy gości,
— To kłosów żytnich łany,
Słońca pieszczoty pełne i jasności,
Szumiące, zadumane...

Jak myśli moje płynęły falami,
Łagodnie biegły z nimi,
To znów wzburzone szumiały kłosami,
Schylając się ku ziemi.

W tumanach białych, gdy było kwitnące,
Ku niebu woń swą słało,
Zapachem ziemi i chlebem pachnące
Do duszy mej się śmiało.

Kocham je, kocham to żyto kwitnące,
Tak w życie wzrosło moje,
Że dotąd słyszę te łany szumiące
I pieśnią ich się poję!

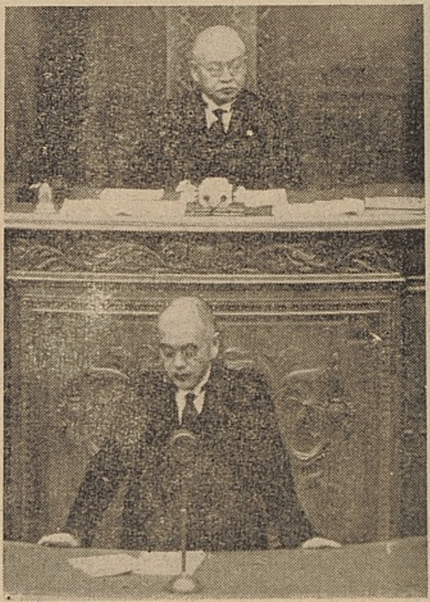
Al. Chlebowska

mywał się od śmiechu. Czemu ten detektyw jest taki poważny? tak cmentarnie lodowaty? — Pan pozwoli, że się przedstawię: jestem Alfred Véry. Panowie pozwolą... Pan dyrektor Devadatte, pan Riderot starszy, pan Riderot młodszy — pan Robert, detektyw...

Panowie ukłonili się. Detektyw odkłonił się chłodno.

— Niech pan raczy usiąść — rzekł pan Riderot starszy.

Detektyw usiadł, nie spuszczając z oka pana Véry. Czy ten łajdak zdoła się powstrzymać od śmiechu? Co to wszystko znaczy! Takich min jeszcze nigdy nie widział, wchodząc do odkrytej przez siebie jamy zbrodniarzy.



Minister skarbu Sotaro Ishiwata przemawia w parlamencie japońskim

Zbrodniarzy! To nie byli zbrodniarze! to byli mili, poogdni ludzie! A jak bardzo sympatyczny był dyrektor Devadatte!

I nie była to wcale jama: był to duży, ładny pokój, wesoło oświetlony, urządzony jak biuro. Szafy pod sufit, biurka, telefon... Na jednem biurku flaszka z „Asti spumante“ i niedopite kieliszki...

Co — to — jest?

I jeszcze ten szyld na drzwiach: „AVAXARA“!

— Chociaż przyszedłem dobrowolnie — zaczął detektyw — nie czekając na zaszczytne zaproszenie szanownych panów — sądzę, że to nie zmieni zamiaru panów — objaśnienia mi tej sprawy — a raczej — poprawił się — tych nielicznych szczegółów, które mi jeszcze nie są znane...

— Z miłą chęcią wyjaśnimy wszystko — rzekł Véry — ale pod warunkiem.

— Pan stawia warunki?! — detektyw aż podniósł się w krześle. To było oburzające! Véry stawia warunki!

Ale stało się coś jeszcze więcej oburzającego.

Alfred Véry walczył długo. I zwycięsko. Już był na dobrej drodze do ułożenia swej twarzy w spokojną normalność powagi, której wymagała chwila detektywna — ale gdy Robert-Robert rzekł głosem pełnym oburzenia, zdziwienia i cmentarnie lodowatej głębi: „Pan stawia warunki?!“ — Véry nie mógł się opanować i roześmiał się...

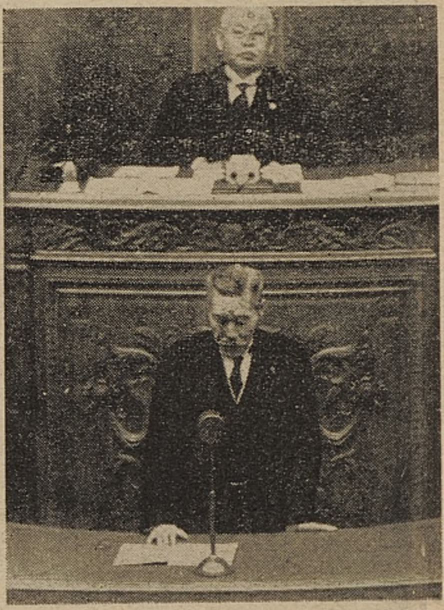
Roześmiał się! Nie! to mało! Véry nie roześmiał się — Véry parsknął, zapiał, w końcu ryknął... Po prostu ryknął. Opadł w fotel i trząsł się, wyjąc i trzymając się za brzuch, a łzy zaczynały mu spływać z oczu.

Detektyw zerwał się oburzony do głębi. Już miał na ustach miażdżące słowa, słowa władzy, słowa mocy, słowa potęgi, gdy nagle. —

Nagle ujrzał, że miła, dobra twarz dyrektora Devadatte zaczyna się dziwnie kurczyć, układać w jakieś wzgórki, fałdy, rozpadliny — że czerwienieje aż po czubek łysiny — i usłyszał podejrzany świszczący odgłos, który wkrótce przeszedł w serdeczny śmiech wstrząsający pokładami tłuszczu poważnego, miłego człowieka — piątej ofiary!

I dwaj bracia Riderot zaczęli się kurczyć i wić — i za chwilę nic nie było słychać w pokoju, tylko śmiech — parskanie, głębokie łapanie oddechu, westchnienia i nowe kaskady.

(Ciąg dalszy w nast. numerze).



W parlamencie japońskim wygłosił przemówienie premier Hiramuna.

MARIA REUTT

6)

Głos Krwi

Romans obyczajowy z polsko-niemieckiego pogranicza

Robota wypadła z rąk kobiety i barwną plamą rozlała się u jej stóp. Na jej palcu wskazującym ukazała się kropla krwi.

Staruszka zacisnęła dłonie na kolanach i w oczach jej, którymi patrzyła na córkę, odbijał się głęboki ból.

— Będzie pan psuł swoje dzieci — powiedziała, by odwrócić uwagę mężczyzny od bladości i pomieszania wnuczki.

Roześmiał się. — Kto wie, jakim będę ojcem? Może rozpieszczę je, a może będę je tyranizować. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym.

Nikt nie podjął poruszonego przezeń tematu, lecz baron ciągnął dalej:

— W ogóle dzieci nie interesowały mnie dotąd zbytnio, chociaż miałem zamiar mieć je, gdy się ożenię...

Pani Namielska opanowała już swoje zmieszanie. Podniosła robotę i szyła w milczeniu.

Baron gonił oczami sylwetki dzieci, pochylone nad balią, która napełniona wodą, nie wiadomo skąd wzięła się na środku gazonu.

Wstał i zaczął się żegnać.

Gdy podnosił rękę pani Namielskiej do ust, spytał, patrząc jej w oczy: — Dlaczego mnie pani nie lubi?

Zaczerwieniła się, ale nic nie powiedziała.

— Czy dlatego, że jestem Niemcem?

— Ja sama jestem pół-Niemką... Ojciec mój był Niemcem — odparła wymijająco.

Nie nalegał. Puścił jej rękę ze swej dłoni i podszedł do dzieci.

— Do widzenia, zuchu!

Chłopiec otarł zmoczoną rękę o spodenki i z powagą położył swoją małą łapkę na jego szeroką dłoń. Uścisnęli się za ręce, jak dorośli.

Nachylił się nad Bożenką, ujął ją pod pachy, podniósł na wysokość swej twarzy i pocałował. Dziewczynka objęła go rączkami za szyję i przytuliła główkę do jego policzka. Postawił ją na ziemi, wzruszony tą niewinną pieszczotą.

— — — — — — — —

Ernę ujrzał baron dopiero przy kolacji. Siedziała nadąsana, milcząca, nie jedząc nic prawie. Po kolacji objął ramieniem jej kibić i z lekka opierając się poprowadził w głąb parku.

— Co to za mucha wleciała do noska mej narzeczonej? — spytał żartobliwie.

Uwolniła się z jego objęć i stanęła ku niemu twarzą w twarz.

— Znów bawiłeś całe popołudnie u tych swoich bękartów.

— Jakich bękartów? — spytał z odcieniem gniewu w głosie.

— No, tych z Ustronia! — syknęła.

— Na jakiej podstawie ubliżasz tym dzieciom? — głos jego był zimny jak lód, lodowym zimnem błyszczały jego oczy.

— Ubliżam! — wykrzyknęła. — To ty mi ubliżasz i obrażasz mnie tymi ciągłymi wizytami u tej tam leśniczanki! Narzucaniem obecności tych dzieci, prawdopodobnie twoich — mnie, twej narzeczonej i przyszłej żonie...

Chwycił ją za ręce powyżej łokci i przytrzymał jak w kleszczach.

— Coś powiedziała?! — krzyknął przez zaciśnięte zęby.

— Prawdę! — odrzuciła hardo.

— Dałem ci słowo honoru... — zaczął podniesionym głosem.

Odwróciła się i szła ku domowi.

Postępował za nią powoli, myśląc ze smutkiem, że daleka jest droga od duszy do duszy — nawet ukochanej kobiety.

Erna zatrzymała się dopiero w salonie gobelinowym. Jasno oświetlony, pusty był w tej chwili, bo baronowa, nie chcąc przeszkadzać młodym, odeszła do swoich apartamentów na górę.

Erna podeszła do biureczka i z teczki skórzanej wyjęła kilka fotografij.



Oryginalny kostium uczestnika pochodu karnawałowego w Binche w Belgii

— Patrz! — podsunęła mu je pod oczy. — To twoja podobizna, gdy byłeś dzieckiem...

Przyglądał się, oczom swoim nie wierząc. Z kartonu patrzyła na niego twarz — Jurka, może trochę szczuplejsza, mniej harda w wyrazie, ale ta sama.

Zaskoczyło go to odkrycie i wytrąciło z równowagi. Z bezradnym wyrazem twarzy przyglądał się fotografii.

— A może to i mój syn? — przemknęło mu przez mózg. Roześmiał się głośno na tę myśl zabawną.

Ernę dotknął ten jego śmiech.

— Cóż tak zabawnego zobaczyłeś? — zapytała z przekąsem.

— Śmieję się z twoich urojeń...

— To są nie tylko moje urojenia — odrzekła porywczo. — Twoja mama również zaniepokoiła się tym. To ona wyszukała te fotografie.

Podała mu grupowe zdjęcie urzędników dóbr z Namielskim w środku.

— Przypuszczała pierwotnie, że Namielski był synem twego stryja. Postarała się więc w tym celu o fotografię Namielskiego. Lecz porównaj ją z fotografią stryja — podała mu trzecią fotografię — i z fotografią twoją i osądź sam: do kogo to dziecko podobne...

Obejrzał wszystkie trzy fotografie i położył je na stole.

Była mu szalenie bolesną myśl, że i matka nie wierzyła mu — ta matka tak przez niego kochana, której nigdy nie oszukał, nie skłamał przed nią od dzieciństwa! Że sama na własną rękę prowadziła dochodzenia poza jego plecami.

To odkrycie napełniło go goryczą i niesmakiem.

— Zapewniłem cię już raz, że ani tych dzieci ani matki ich nie znałem przedtem, nie widywałem. Dziś, potwierdzam swoje poprzednie zapewnienia. Nic więcej dodać nie mogę! Jedynie chyba to, że i ty i mama, dwie najdroższe mi istoty na świecie, zrobiłyście mi bardzo wielką przykrość...

Erna spostrzegła, że posunęła się za daleko. Zarzuciła mu ręce na szyję i głowę położyła na jego piersi.



Oryginalnego gościa, który codziennie o tej samej godzinie przychodzi na posiłek, ma pewien wieśniak w Wisconsin (USA)

— Abi, nie gniewaj się — szeptała. — Kocham cię tak szalenie i jestem zazdrosna o każdy twój uśmiech, spojrzenie, słowa przyjazne, skierowane do innych...

— Musisz się wyzbyć tego uczucia — powiedział porywczo — inaczej życie nasze wspólne byłoby nie do zniesienia. Powiedz sama, jakie byłoby nasze współżycie, gdybym ja zaczął robić ci wymówki za każdy uśmiech, którym obdarzasz tych, co się z tobą zetkną.

Erna zamrugała nerwowo powiekami.

— Nie daj Boże! — przebiegło jej przez myśl. W mózgu jak na kliszy fotograficznej odbiły się wszystkie jej flirty, schadzki, kolacje w ustronnych restauracjach, podczas których różnie się zdarzało, a pocałunek był najniewinniejszym figlem.

Aż syknęła wewnętrznie z uczucia niesmaku.

Była nowoczesną, powojenną panną — dopóki nie poznała Abiego, dopóki szczerze nie pokochała.

ROZMOWA Z MATKĄ

Baron znużony był dzisiejszym dniem. Strajk na tartaku, bytność w Ustroniu, scena z Erną — to dosyć przyjemności, jak na jeden dzień.

Ujął narzeczoną za rękę.

— Zgoda, — prawda? A teraz idziemy spać. Wstałem dziś wcześnie i czuję się zmęczony.

Pocałował ją w usta, które mu przymilnym, łaszącym się ruchem podsunęła pod wargi i podniósł portierę, czekając, aż przestąpi próg.

— — — — — — — — —

Ernest zachował od dzieciństwa zwyczaj mówienia matce dobranoc w jej pokoju.

Dziś jednak był tak na nią rozżalony, że minął drzwi apartamentów matki, nie wchodząc.

— Kto, ale matka żeby nie wierzyła mu i na własną rękę starała się przekonywać o prawdziwości jego słów!

— — — — — — — — —

— Nie zachodziłeś do mnie wczoraj — przywitała go baronowa wymówką, gdy nazajutrz spotkali się przy śniadaniu.

Oboje jadali wcześnie. Erna natomiast pijała kawę w łóżku.

— Byłem bardzo wzburzony wczorajszą rozmową z Erną, a raczej wiadomością, że mama nie uwierzyła mym zapewnieniom co do stosunku mego do tych dzieci z leśniczówki.

Twarz baronowej opłynął mocny rumieniec.

— To nadzwyczajne podobieństwo tego chłopca do ciebie... — usprawiedliwiała się.

Zmarszczył brwi, w oczach odmalowała mu się przykrość.

— Ale ja zapewniłem mamę — rzekł z przyciskiem.

— No tak... tylko to podobieństwo...

— Podobieństwo to nie ma żadnego znaczenia. Jeżeliby ten chłopiec miał do mnie jakieś prawa, mama wiedziałaby o tym ode mnie.

— — — — — — — — —

Cały tydzień już upłynął, a baron nie był w Ustroniu, chociaż myślą często tam przebywał.

— Jakie dziwne są kobiety — myślał o narzeczonej z pewną dozą urazy, że jej niewyrozumiałość i niczym nie uzasadniona zazdrość powstrzymuje go od wizyt w leśniczówce.

Erna cały ten czas czarowała go rozbrajającą słodyczą, uprzejmością graniczącą z pokorą. Jej pieszczoty miały specjalnie wyrafinowany styl. Niedarmo przeżyła tyle miłych flirtów ze złotą młodzieżą Berlina i Monachium.

— — — — — — — — —

Przyjechało dwóch kuzynów barona, nadto lekarz, znany chirurg, jakaś daleka kuzynka rozwódka, Fred, brat Erny i Eryk Neumann.

Zaroiło się w cichym zamku od gości i służby, bo i wdowa po baronie Wilhelmie również zjechała na miesiąc do dawnej swej siedziby.

Eryk zaprzyjaźnił się od razu z Erną. Był to typ młodzieńca stworzonego na przyjaciela i powiernika kobiet. Nie spotkał dotąd kobiety, która za trzecim spotkaniem nie zwierzałaby mu się ze swoich nadziei, marzeń i trosk.

Był przystojny, elegancki, wykształcony — ale brakowało mu tego czegoś, co stwarza typy uwodzicieli, donżuanów, zdobywców.

Ciąg dalszy na str. 173.



Król Leopold belgijski oddaje hołd sztandarom oddziałów, które brały udział w wojnie światowej



Żeński oddział służby przeciwgazowej w pełnym rynsztunku. Zdjęcie z ćwiczeń w Sztokholmie.

KRAINA SZCZEROSCI I NASZYCH TROSK

WSPOMNIENIE

Wspomnienie, to ból nad siły,
Co w piersi ogień rozżarza...
Wspomnienie, to głos mogiły...
To powiew wiatru z cmentarza...
Wspomnienie, to cicha struna,
Grająca w duszy pieśń czaru...
Wspomnienie, to złota łuna
Dawno zgasłego pożaru.
Wspomnienie, to cudna tęcza!...
To jak świt srebrny w pomroce...
Wspomnienie, to sieć pajęcza,
W której się serce szamoce.
Wspomnienie, to ubieranie
Suchych badyli w kwiat biały...
To mgnienia padłe w otchłanie,
Skąd godzinami powstały.

Irena Strzemię-Pieczkowska.

DOBRE RADY PANI ZOFII

KOMUNIKATY „ZUCH DZIEWCZYNY“

„Zuch-dziewczyna”. Pozdrawiam Cię serdecznie, Maleńka, i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Mała Konwalijka”. Kiedy przyjedziesz znów do Łodzi? Bardzo chciałabym Cię zobaczyć.

„Biała Uajali”. Z ostatniej „Krainy” wnioskuję, że nie tylko ze mną zerwałaś kontakt, popraw się, proszę, i napisz, co u Ciebie?

Wszystkie Kochane Dziewczynki poznane przez „Krainę”! Przesyłam uśmiechy i pozdrowienia.

Pan M. D. Ciekawe, kto pierwszy otrzyma list?!

„Halo Warszawa! Który z „Krainiaków” uczęszcza na politechnikę w Warszawie? Jeżeli taki jest, to proszę przesłać pozdrowienia panu Aleksandrowi Wróblewskiemu (pilotowi) od jednej z „Krainianek”

„Wołyniak”. Cierpliwość Twoja nie ma granic, ale i to Pan Bóg zapłaci Ci stokrotnie.

„Przybłędo Leśny”. Przesyłam Ci moc pozdrowień i proszę o list. Kto Ty?

DLA „RODZINKI“

„Marzyciel Mulforda”. No, nareszcie się odezwałeś, a ja już myślałam, że zapadłeś na dobre w jakieś uroczyska, jakieś knieje, w których jedynie nasza „Wiedźma z debry” mogłaby Cię ewentualnie odnaleźć. A dlaczego? No, bo ona tylko umiałaby się zdobyć na takie „czary”. A może jeszcze „Czarownica z Łysej Góry” — my zwykli śmiertelnicy chyba nie! No, ale żarty na bok! Życzę Ci, abyś zapomniał raz na zawsze o smutkach i zamieszczam Twoje podziękowanie dla „Rodzinki”.

„Całej „Krainie”, szczególnie „Krainiankom” — pozdrowienia! Jestem jako ten wędrowiec, biedny, znużony, który naraz znalazł skarb bezcenny, mnogi! Ze wzruszeniem dziś patrzę i nie wiem, co zabrać dla siebie. Taki trudny wybór. Tyle pereł, a każda taka wymowna. Toteż raczcie mi wybaczyć moje długie, aż za długie milczenie. I to, że nie mogłem się odezwać na każdy list, na każdy odzew. Wierzcie, to ponad moje siły! Pozwólcie mi tą drogą wyrazić wdzięczność i podziękowanie tam wszędzie, gdzie dotychczas z mej strony była głucha cisza. Dzięki Wam, mam dziś tyle pokrewnych duchów więcej, wiem, że moje nieszczęście na tym świecie nie jest jedyne. I wierzę, jeżeli kiedykolwiek znajdę „odpowiednik”, to tylko w „Krainie”. Dziś szukam, szukam jeszcze!”

„Marzyciel Mulforda”.

GDY SZUMI LAS

Kiedy wiatr pędzi z gór,
Chylą się młode drzewa,
I szumi ciemny bór,
I pieśni swoje śpiewa.
Niech pędzi wiatr, niech szumi las,
Niech z pieśnią płynie czas!
O, lesie! — znam twój szum,
I kocham pieśni twoje,
A moc twych słodkich dum
Ja w serce chowam swoje.
Bo tak dobrze z tobą być,
I jak ty wichrem żyć!
I życia rozkosz znać,
Swobody czerpać tchnienie,
I w słońcu myśl swą grzać.
I jasne mieć wejrzenie,
Jak wichru wiew, jak lasu śpiew,
Czuć w żyłach młodą krew.

M. Chlebowska.

NOWA SIOSTRZYCZKA AŻ Z AMERYKI

„Maleńka Li-Lea”. Z radością witam Cię w naszej „Krainie”, Droga mieszkanko dalekiego New Yorku! Niesłychanie miło było mi przeczytać Twoje miłe i serdeczne słowa, skierowane pod adresem „Moich Powieści”, a zwłaszcza „Krainy”.

Wierzę ja, że dla Ciebie, tęskniącej za Ojczyzną i rodakami, słodkie jest każde polskie słowo, a cóż dopiero taka masa słów ciepłych, braterskich, zamknięta w „Krainie”.

Ze swej strony apeluję do całej „Rodzinki”, aby odniosła się do naszej „Siostrzyczki” zza morza z najwyższą serdecznością i oddaniem. Niech „Maleńka Li-Lea” poczuje niezbicie, że wraz z przyjęciem jej do „Krainy” setki serc naszej „Rodzinki” zabiły dla niej głębokim uczuciem i setki myśli tkliwych popłynęły hen, do dalekiego Nowego Jorku, aby w nim odnaleźć nową siostrzyczkę i spotkać się z jej wielką tęsknotą za wszystkim, co wiąże się z jej ojczystym krajem!

Droga Moja! Bądź zdrowa i pewna naszej życzliwości!

„Drodzy „Krainiacy”! Przyjmijcie mnie do swego grona i pomyślcie: O, urodziła się znów jedna córeczka Pani Zofii, której pseudonim brzmi: „Maleńka Li-Lea”. A że ta córeczka znajduje się aż w Ameryce, tym lepiej!

„Przybłędo Leśny”, czy Pan jest naprawdę takim zapalczywym myśliwym i w jakich lasach Pan mieszka? I ja wychowywałam się przez długie lata wśród lasu, więc kocham bardzo lasy. Ślę zza morza miłe pa!

„Amerykańczyk”. Czy to tylko Pana pseudonim, czy też był Pan tu wśród nas? Jestem obecnie w Ameryce. Chciałabym wiedzieć coś o Panu.

„Irusia z Wołynia”. Zapytuję się Pani, czy Pani I. Zarzycka powieściopisarka, jest Jej przyjaciółką? Znam dużo powieści pisanych przez nią, a ponieważ jestem sama bardzo żywego i dzikiego usposobienia, przeto kocham bardzo Panią Zarzycką za Jej powieści, w których bohaterzy odznaczają się żywym temperamentem. Proszę mi napisać na łamach „Krainy”. Ślę serdeczne pozdrowienie!

„Nieszczęśliwa Niniusia”. Niech się Pani nie martwi i niech nie upada na duchu. Znajdzie Pani upragnioną pracę i wtedy musi Pani zmienić pseudo na „Szczęśliwa Niniusia”. Polubiłam Panią, czy można skrobnąć kilka słów?

Całej miłej „Rodzince” zasyłam serdeczne pozdrowienia i miłe pa!

W ODPOWIEDZI

„Wacusiewicz”. List Pana, pisany na adres naczelnego redaktora naszego wydawnictwa, został mi doręczony. Przypomina Pan sobie zapewne, co w nim poruszyłeś — w odpowiedzi powołuję się na list w „Krainie”, zatytułowany „Niestety”! w nr. 3. br. Tamta odpowiedź była dana nim jeszcze wpłynął ten list, na który odpowiadam niniejszym.

Co do sprawy administracyjnej, to została ona załatwiona i zapewne otrzymujesz numery „Moich Powieści” regularnie. Numery zaległe też zleciłam Ci przesłać! Proszę donieść mi, czy je otrzymałeś! Pozdrawiam!

NOWE SYMPATYCZKI

„Meritta” i „Zapomniana znajoma”. Przyjmuję Was, miłe moje, do „Krainy” i życzę, aby rychło stała się Wam ona źródłem wesela i zadowolenia.

A teraz komunikaty:

„Halo! Tu „Meritta”!

Będę niedługo w Bydgoszczy. Nie znając jej, można zbłądzić, więc może znajdzie się ktoś, który by służył za przewodnika?

Zaciekawia mnie „Samotna Włościanka”, „Maleńka Halszka”, „Burza”, „Chochlik” — może by któraś z Pań zechciała napisać do „Meritty”, a chętnie odpowiem.

„Erosie”, „Pellu”, „Samotny Romie”, „Latorośli Kaszubska”, Błędny Ogniku”, „Romku” — proszę o skrobnięcie liściku, a odpowiedź murowana.

A tu „Zapomniana znajoma”! Czytając odpowiedzi w „Krainie”, zainteresowałam się następującymi Sympatykami: „Henry-Kornem”, „Naturalnym”, „Szukającym”, „Zabłąkanym Chłopcem” i „Takim-jednym”. Jeżeli któryś z wyżej wymienionych Panów napisze do „Zapomnianej znajomej”, otrzyma natychmiastową odpowiedź”.

CHODZIŁABYM W RADOSCI, JAK W SŁOŃCU!

„Biały Wrzos”. Życzysz mi tyle radości, ile jest igiełek sosnowych na każdym drzewie we wszystkich lasach całej Polski? Mocny Boże! To doprawdy było by jej dużo! Chodziłabym w radości, jak w słońcu! Dziękuję Ci, Kochanie, za to sercowe życzenie. W Tobie jest moc radości na myśl itd. A we mnie jest moc wzruszenia dlatego, że Ty jesteś taką, jaką jesteś. Pamiętam o Twoim życzeniu i zachowam je dobrze w pamięci na wypadek, gdybym niespodzianie znalazła się w Twoich stronach, wszak wszystko jest możliwe na tym najpiękniejszym ze światów.

Przyślij proszę swoją fotografię, dla mnie — dobrze? Cieszę się ogromnie, że jesteś tak pracowitą, a jednocześnie uprawiasz tyle rodzajów sportu! Cieszę się tym więcej, że bardzo Cię lubię.

Przyślij koniecznie swoje wierszyki. No i pisz dużo. A teraz pa!

Wszystkim smutnym i wesołym „Krainiakom” życzy nasza siostrzyczka moc szczęścia.

OCZYMA DUSZY

Drogim Wujostwu A. K. Wileckim — poświęcam

Ciszę pokoju złocił refleksem promieni
I jak w paletę artysty kładł barwy gorące
Na niebo, w aureoli złocistych pierścieni —
Letni, pogodny wieczór, który gasił słońce.
Upałem jeszcze dziennym tchnęły trotuary,
Wyciągnięte równiutko w przestrzeni ulicznej —
Wieczorną już godzinę dzwoniły zegary:
Harmonijnie.. powoli... dokładnie... rytmicznie...
Na ten duży naprzeciw Twego fotela
Podniosłeś Twe oczy, tak rozumne życiem...
Pełną wspomnień musiała być Ci taka chwila,
Którą on przypominał dźwięcznym swoim biciem.
A kiedy dzwonił Ci drugi godziny... kwadranse...
Rozjaśniało się Twoje czoło zadumane...
Pochylone w tej chwili nad trudnym pasjansem,
Który czasem gotował psoty niespodziane.
I rozmawiały ze sobą te liczne zegarki,
W domu Twoim idące zawsze równym trybem;
U okien się trzepotały złociste kanarki,
Ręką Wuja karmione, w klateczkach u szyby...
I tyle zawsze ciszy było w tym pokoju,
Tyle pogody duszy, dobroci słonecznej —
Jak jedwabiste pasma pieszczoty serdecznej
Owijały mi serce, spragnione spokoju.
Śledziłam wówczas dobre dłonie Cioci,
Jak pielęgnowały kwiaty, haftowały kwiaty...
Uśmiech się Jej kochany w duszy mojej złoci,
Kiedy wspomnieniem sięgnę, jak było przed laty...
I dziś oczyma duszy widzę Was Oboje...
W promiennych blaskach słońca pogodnego lata...
Tak mocno... o tak mocno bije serce moje
I na skrzydłach tęsknoty tam, do Was ulata!

Zofia Borucka.

WĄTPLIWOSCI ROZPROSZONE

„Uśmiech Szatana”. Mam przed sobą dwa Twoje listy, jeden jeszcze z listopada, a drugi ze stycznia.

W pierwszym piszesz mi dużo o sobie, a także zdradzasz swoje wątpliwości co do wartości własnych prac. Sądzę, że te wątpliwości zdołał już należycie rozprószyć Wujek Janusz odpowiedziami w „Teczce”.

Piszesz mi też o swych przygotowaniach do tej deklamacji, która później wywołała taką szaloną reakcję. A propos, czy nie doniesz nam, czy już się znowu wszystko ułożyło sympatycznie?

Cieszy mnie fakt, że lubisz swoją pracę — to jest ważne w życiu!

W b. r. chciałaś się wybrać rowerem do Wilna, miała to być mała „pielgrzymka” do Ostrej Bramy — czy nie zrezygnowałaś z tego zamiaru?

Liścik Twój dosłałam, tak samo wręczyłam list i wiersze Wujkowi Januszowi.

Dlaczego psuje Ci się zdrowie, co jest tego przyczyną?

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i w Twoim imieniu pozdrawiam „Burzę”, „Małą Konwalijkę” oraz „Panienkę z warkoczami”. Tej ostatniej pragniesz odpłacić wzajemnością za jej miły apel.

DOMYSLAM SIĘ...

„Brzydulka z najbrzydszych”. Ejże, jak się domyślam, nie jesteś Ty taka brzydka, Dzieciaku, tylko straszysz mnie niepotrzebnie swoim pseudonimem. A może kokietujesz? Już my wiemy, co siedzi w kobietkach i dlatego nie przerażam się tym Twoim groźnym pseudonimem!

Do „Krainy” przyjmuję Cię naturalnie i życzę w niej powodzenia!

A teraz posyłam Ci wesoły uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Szukający”. Czy zechciałby Pan napisać coś do mnie?

„Pell”! Mieszkamy w jednym mieście i znamy się osobiście. Skrobnij coś także!

Wszystkim życzę wiele przyjemności.

„WYROK NA P. ZOFIĘ...“

„Irusia z Wołynia”. W swoim ostatnim liście wydajesz na mnie wyrok zaoczny za przedłużone milczenie. Uśmiałam się z tego szczerze i jeszcze bardziej Cię polubiłam. Wyrok ten, jako doskonały wskaźnik Twego humoru, a wesołego dowcipu w ogóle, przedrukuję poniżej.

Równocześnie odpowiadam na wszystkie Twoje listy, łącznie z tym, w którym piszecie obie z „Arianą”, a także z tym opisującym Wołyń. „Ariana” otrzymała odpowiedź w międzyczasie, a Ty otrzymujesz dziś.

Cieszy mnie, że święta spędziłaś dobrze. Ale jest i jedna rzecz, która mnie niepokoi ogromnie, miano-

wicie Twoje mocno nadwyrężone zdrowie. Dziecko Drogie, czy nie możesz postarać się o urlop i wyjechać gdzieś w zdrową górską miejscowość na odpoczynek? Koniecznie musisz zdwoić pielęgnację swego zdrowia. I jeszcze coś! Staraj się, proszę Cię, nie myśleć o tym, że stan jest groźny, przeciwne wierz w stałą poprawę i bądź mi możliwie zawsze tak pełna radości i ukochania życia, jak przy redagowaniu swego wyroku na mnie. Ta radość i ten humor pomoże Ci do zwalczenia niezdrowia.

„Moje Powieści" kazałam przekazać na podany przez Ciebie adres.

Jakże wzruszająca jest troskliwość tych ludzi (wszak obcych) o Ciebie. Musisz widocznie i im wydawać się bardzo kochaną, skoro tak o Ciebie dbają.

Całuję Cię serdecznie i przechodzę do przedrukowania Twoich komunikatów, jak również owego groźnego wyroku.

Komunikaty:

„Lidusia z Radomia". Kocham tylko Ciebie, Jedyna! Odpisz.

„Pell". Dziękuję! Jestem ostatnio w dziwnej depresji duchowej, nie mogę skupić myśli, ale odpiszę na pewno.

„Szatynka z Podlasia". Kochana, nie trzeba tak czarno patrzeć na życie.

„Tyran". Oj, bo i ja mam bacik na złośliwość! Może napiszesz?

„Ariana". Czekam cierpliwie!

„Krainie" moc pozdrowień.

„Do Pani Zofii:

W dniu 4-tym lutego 1939 roku na wokandzie sądu komicznego w Ipsylionie odbyła się rozprawa przeciw Pani Zofii oskarżonej o za długie milczenie w stosunku do „Irusi z Wołynia". Ponieważ oskarżona nie stawiła się na rozprawę, wydano wyrok zaoczny i na zasadzie 57 § pkt. 7 k. k. została skazana na 25 lat ciężkiej pracy w „Krainie szczerości i naszych trosk" oraz pozbawienie praw w przeciągu jednej minuty.

Przewodniczący sądu komicznego w Ipsylionie X. Iksiński."

S. O. S.

„Krainie" poświęcam.

Na falach Smutku — ginę w odmętach —
— wołam rozpaczne: S. O. S. — — —
O ludzie w łodziach — ludzie w okrętach!
— — — tak mi na świecie ciężko jest...
Fala za falą. Burza za burzą
i grom za gromem w moją łódź bił —
— już się nie mogę borykać dłużej — — —
— o już nie mogę — już nie mam sił...
Jestem dziś sama. Życia rozbitek.
— Wnet mnie pochłonie zdradna toń —
Przede mną zwały fal — nieprzebyte —
— czy mi ktoś poda silną dłoń?
Czy ktoś odczuje serca sygnały —
— poprzez przestrzenie dalekich mil?
Czy ktoś zrozumie szept ust zbolałych —
i wskrzesi radość umarłych chwil?
— — — — — — — —
Na falach Smutku — ginę w odmętach —
— rzucam ostatnie: S. O. S. — — —
(nikt mnie nie kocha — nikt nie pamięta)
— — — tak mi na świecie ciężko jest...

Jadwiga Limba.

DZIĘKUJĘ!

„Podolanka". Dziękuję Pani za dobre życzenia dla „Krainy", Wuja Janusza i dla mnie i wzajemnie przesyłam Pani serdeczności.

Na pytanie mam tylko jedną odpowiedź, mianowicie, że nie wiem. Za mało było danych, abym się mogła zorientować.

Przyjm przyjazny uścisk dłoni i prośbę o pamięć, wyrażającą się w dalszych listach!

Komunikaty:

„Lechisław" — dlaczego nie odpisałeś na list mojej koleżanki z Podola?

„Alchemik". Ach, jacy my słabi! Radzę na przyszłość zastosować jak najdalej posuniętą powściągliwość w przyrzeczeniach. Zdaje mi się, że początek zrobiłam Panu bardzo szczęśliwy — należy mi podziękować.

Wesołego współtowarzysza podróży z dnia 27. 12. na przestrzeni Podwołoczyska — Lwów — serdecznie pozdrawiam i życzę pomyślności! Dotrzymuję słowa — prawda? Jak wypadła dalsza podróż? — Ja o całość mych butów i komplet guzików stoczyłam jeszcze niejedną potyczkę w dalszej drodze. Jeśli jest Pan jeszcze ciekaw, kto śpiewał „Polesia czar" — adres red. „Moich Powieści". Pseudonim już Panu zdradziłam.

Halo! — Jeśli ktoś z „Krainy" mieszka w pobliżu Brześcia n. B., Pińska, Drohiczyna, proszę się zgłosić — może zajść okoliczność, że ujrzymy swe oblicza"!

JEŻELI...

„Bajka". Mam przed sobą dwa Twoje listy i pocztówkę i odpowiadam na nie niniejszym. Na list Swój, pisany wraz z „Miłą Zapałeczką", otrzymałaś już odpowiedź w nr. 2 br. Zatem nie będę powtarzała tamtych komunikatów.

Co zaś do Twego pytania, to nie mogę na nie odpowiedzieć z przyczyn zasadniczych. Postaraj się dowiedzieć o tym za pomocą komunikatu, albo może lepiej pozwól zachować tej osobie pełne incognito, jeżeli jej na tym, jak to zauważyłam, zależy.

Życzę Ci moc radości i zamieszczam komunikaty:

„Zuch - dziewczynie", „Księżniczce Henriecie", „Miłej Zapałeczce", „Marucie", Zosi Dobrowolskiej, „Ejgo... Ejgo", i „Wirrytowi" — czyli całej plice krainiackiej z Łodzi ślę miłe pozdrowienia z Warszawy.

„Dianie" ślę uściski, a „Wandzi n/B." życzenie lepszego jutra.

„Zuch - dziewczyno"! Prezentem imieninowym jestem zachwycona, jak również i śliczną „gwiazdką" i raz jeszcze Ci jak najserdeczniej, Rychno, dziękuję!

„Wenus"! I Tobie, Kochanie dziękuję za przemiłe prezenty — ładne te Twoje robótki! Całuję Ci za nie mocno buźkę.

Za życzenia Wszystkim w „Krainie", którzy o mnie pamiętali w październiku i podczas świąt — ślę ciepły uścisk dłoni.

„Maruto"! Żałuję, żałuję bardzo, że nie zastaliśmy **Cię** w domu. Tak bardzo Cię chciałam poznać osobiście. Wiesz już zapewne, że byliśmy u Ciebie całą paką, i to sama brać „Krainiacka".

„Księżniczko Henrietto"! Jesteś bardzo kochaną i tak bardzo pragnęłabym, by Ci dobrze wśród nas było. Z Zakopanego — fiasko, bo Zosia D. już po urlopie, wobec tego zamiast u Trzaski, zabawimy się w Łodzi — przyjadę. P. Mirę jak najmilej pozdrawiam.

„Lucyno"! Żywię dla Ciebie, Droga Dziewczynko, dużo sympatii, lecz o liścik proszę Cię „pierwsza". Czuję, że dobrze nam będzie ze sobą.

Chciałabym również parę słów odebrać od pani „I. H.", „Gwiazdeczki", „Odysa", „Taddy'ego", „Armeńczyka", „Assa" i „Młodego Orła", który ani się domyśla, jak „Bajka" Mu bardzo, bardzo zazdrości Jego lotów podniebnych.

„Honoracie" i „Samotnej Marucie" — pozdrowienia odwzajemniam w pełni, a „Krysi - leśniczance", „Bursztynowemu Serduszku" i „Jadźce z kiosku" — buziaki.

— „Pell"! Do licznych ostatnio dla Pana komunikatów i ja dorzucam parę słów. Wiem o Panu dużo.. dużo.... a nawet od dwóch już lat mam Jego fotkę z pewną „Krainianką" w albumie. Był Pan wówczas w mundurze. W lecie, jeżeli motorem zawadzi Pan i o okolice Łodzi — Tomaszowa Maz., lub Piotrkowa Tryb., proszę napisać, to się spotkamy.

Całej „Krainie" życzę humoru i powodzenia!"

WOŁANIE!

Otwórz okna
i przywołaj noc — — —
ach, bo życie
takie spóźnione!...
Tyle godzin i przemijań — tyle dróg —
Pyłem gwiezdnym
ślady przyprószone...
Ach, bo życie
takie spóźnione,
tak podobne do nocy ciemnej —
w której świtu się dopatrujemy...
otwórz okna
i przywołaj noc — — —
bo ta sama noc, co trwa w tobie,
trwa dzisiaj we mnie!...

Józef Baranowski.

BYWAJ!

„Dżentelmen ze Śląska". Do „Krainy" zostałeś przyjęty już dawno, jak to zapewne już stwierdziłeś.

Listy Twoje dosłałam.

Dziękuję za pozdrowienia dla całej „Krainy" i dla mnie i odwzajemniam je szczerze.

Napisz mi w przyszłości długi list, a teraz bywaj!

PROJEKT NIEREALNY!

„Dyktator". Cieszy mnie wiadomość, którą mi przysłałeś. Co zaś do Twego projektu, to po zasięgnięciu rady u czynników kompetentnych naszego wydawnictwa, uznaję go za nierealny i tym samym nie podnoszę go na forum „Krainy".

Uśmiałam się z konkluzji, jaką powziąłeś o Wujku Januszu — pewnie, że o kilka lat jest starszy, ale absolutnie jeszcze nie stary! Możesz mi uwierzyć na słowo, bo przecież widuję go codziennie i pracujemy ręka w rękę! Przyznam Ci się po cichu, że Wujek trochę (tylko trochę) zmartwił się tym, że uważacie go za staruszka. Pomyślał, podumał, wreszcie machnął ręką i zaśmiał się głośno i beztrosko. Trzeba Ci wiedzieć, że z niego jest ogromnie łatwy w pożyciu i miły kompan!

No, ale dosyć tej gawędy — inni też oczekują odpowiedzi. Zatem przyjmij moje pozdrowienia i bywaj mi zdrów!

Komunikaty:

„Halo, „Wędrowna Chmurko"! Gdzie Cię znowu wichry zapędziły? Ja czekam, czekam i doczekać się nie mogę! Może spadniesz wraz z wiosennymi deszczami?

„Wesoła Maruszko"! Dziękuję Ci za pozdrowienia. Czy Ty zawsze jesteś wesoła? Moim udziałem jest raczej tylko smutek — może mnie zarazisz swoją wesołością? Bardzo byłbym rad.

„Zosiu", „Bogdo", „Skowronku" — bardzo chętnie napisałbym, ale któż mi da pewność, że nie na darmo będę się trudził? Napiszcie pierwsze, a daję Wam parol kawalerski, że odpowiem!

„Księżniczko Henrietto", gdzie jest Twoje księstwo? Czy mam je wyszukać i zagarnąć Ci władzę?

„Maryla P." Dziękuję za fotkę! Śliczna! To, co uczyniłem jest drobnostką niewartą podziękowania. Zrobiłem to, co uważałem za dobre. Wybacz, że nie napiszę. Zdradził przyczynę już ktoś inny — nieprawdaż? Nie gniewasz się? Przyjmij szczery uścisk dłoni!

„Śnieżyca". Grunt, to dyktować wolę sobie samemu, reszta to absurd! Winszuję i życzę pomyślności na nowej drodze życia!"

GŁOS

Jakiś głos mnie wciąż woła i woła.
Coś mnie przed siebie wciąż pcha i pcha.
Coś każe gonić złudny cień...
Kiedyż wreszcie przyjdzie ten dzień,
Który prawdziwe szczęście mi da?...
Coś mnie wciąż ku sobie ciągnie i woła,
Wabi, nęci, to znów odpycha —
I jakaś zjawa do mnie się uśmiecha...
Jakiś głos mnie woła i woła...
I sama nie wiem, skąd ten głos pochodzi,
W którą mam stronę skierować swe kroki,
Ponieważ świat jest taki ogromny, szeroki —
Jakąż ja mam falą płynąć w swej łodzi?

Krystyna Waligórska.

NIE MAM NIC PRZECIW TEMU!

„Wiochna". Naturalnie, że nie mam nic przeciw uściskaniu mnie, rzecz inna, że to jest niewykonalne — prawda?

Jesteś przemiłym stworzonkiem i nie dziwię się że wzbudziłaś takie zainteresowanie.

Ale, ale!... Nasza „Wiochna" prosi, aby i „Krainianki" zechciały nawiązać z nią korespondencję. Zatem, proszę to wziąć pod uwagę! Przesyłam Ci jasny uśmiech.

WYUCZ SIĘ!

„Bogda". To pięknie, że jesteś zadowolona ze swej pracy w laboratorium aptecznym, pozostań tam jak najdłużej i wyucz się na fachową siłę, a będziesz miała zabezpieczony byt na przyszłość.

Czy zaabonowałaś już „Moje Powieści" w miejscu obecnego swego pobytu?

Listy Twoje przesłałam.

Słusznie podchwyciłaś tę ładną strofę z wiersza p. Płóciennika. Prawdę tam uchwycił wspaniale.

Pozdrawiam Cię, Dziecino, serdecznie!

„Czar Młodości" i „Wośniany Uśmiech", dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam.

„Kartusz". Czytałam o Tobie w powieści, ale że istniejesz w naszej „Krainie", z tego się bardzo ucieszyłam. Proszę przyjąć miłe pozdrowienia.

„Hord". Ładny Twój wierszyk „Wracam" — zasyłam moc pozdrowień. Może napisałbyś do mnie? Podyskutujemy.

Dla całej „Krainy" słodkie pa!

ZAŁATWIONE

„Smutna Tojtana". Przyjęłam Cię już do „Krainy" w jednym z poprzednich numerów, Drogie dziecko! Czy do tej pory nie zwrócono na Ciebie uwagi w „Rodzince" — powiedz mi to!

Sprawa adresu na dosyłanym tygodniku już załatwiona — prawda?

Listy, które wpłyną dla Ciebie, prześlę Ci pod właściwy adres, gdyż na poste-restante było by słać niewygodnie. Przeważnie listy się wracają niepodjęte w terminie, narażając niepotrzebnie redakcję na koszt. Życzę Ci miłej korespondencji i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Panu J. Baranowskiemu wyrażam uznanie za jego cudne wiersze!

„Biała Uajali". Ogromnie podoba mi się Twój pseudonim.

„Uśmiech Szatana". Nie zgadzam się na Twój pseudonim. Zgadnij dlaczego?

„Szukający". Proszę przyjąć moje pozdrowienia. A może napisze Pan do mnie?

„Leśną Dziewczynę", „Różę leśną", „Jutrzenkę" i „Słoneczką Jasienkę" i całą kochaną „Rodzinkę" serdecznie pozdrawiam i proszę o pamięć!"

AUTOR CI POWIE

„Zabłąkany Chłopiec". Och, powiedz no mi, Przyjacielu, jak właściwie jest z doręczaniem „Moich Powieści"? Czy ta sprawa jest już uregulowana ostatecznie? Napisz mi, co i jak — załatwię to jak najskrupulatniej.

Z korespondencji jesteś zadowolony naturalnie! To ładnie!

Dziękuję Ci, że tak ochotnie ofiarowałeś mi się jako cicerone w zwiedzaniu Twego interesującego Polesia — z przyjemnością skorzystam z Twego doświadczonego „przewodnictwa", ale... ale absolutnie nie wiem, czy w ogóle w tym roku się tam wybiorę. Czuję już, że raczej nie. Mam do odstawienia oficjalną wizytę w przepięknym majątku w środkowej Polsce, gdzie jest uroczo i... cicho! A mnie po nerwowej pracy mocno przyda się odpoczynek w ciszy i kompletnym bezruchu. No, nie takim znowu kompletnym, ale zawsze!...

Co do Wujka Janusza, to wiem na pewno, że darzy on Cię sympatią i wcale nie zamyśla „zmywać" Ci głowy" słowami ostrej krytyki. Cóż, krytykować, to on musi z urzędu, lecz to mu zupełnie nie przeszkadza żywić sympatii czy nawet przyjaźni dla krytykowanych.

Kto jest autorem utworu pt. „Szczęście"? Boże Drogi! Nie mam w tej chwili czasu stwierdzić, ale myślę, że autor sam Ci to nie omieszka donieść.

List nadesłany 15 lutego wysłałam., gdzie należało, a Tobie daję burę za zbytnią lakoniczność. Popraw się!

KAPLICA

Stoi w ustronnej ciszy kaplica,
Ze szczytu góry patrzy w dół.
W dole łączka i krynica —
Przy niej chłopiec pieśni snuł.
Smutno dzwonka tętnią dźwięki,
Pieśń wieczorna pięknie brzmi.
Chłopiec przerwał swe piosenki —
Patrzy w górę... słucha... śni!

Zbigniew Wicherek.

WYBRAĆ PSEUDONIM

Pan E. P. — Siemianowice. Przyjmuję Pana do „Krainy", lecz proszę o wybranie sobie pseudonimu, jak to u nas jest w zwyczaju.

Nowy nasz sympatyk ma lat 30, jest wysokim (169) jasnym blondynem, z zawodu ogrodnik - ekonom. Pracuje samodzielnie w swoim ładnym ogrodnictwie. Wszystkich członków pozdrawia i prosi o pamięć.

CO OBIECUJE „RÓŻA LEŚNA"

„Róża leśna". Jesteś już zapewne zdrowa — co, Dzieciaku? Fotografia śliczna, ale trochę nieaktualna teraz, gdy jest zima, przecież tamto zdjęcie było robione przy wspaniałej pogodzie w dni gorące lata. Może nadeślesz mi inne zdjęcie — bardzo chętnie zamieszczę je w „Krainie".

Wujek Janusz pokiwał wesoło głową na Twoje szczebioty i zaznaczył, że z przyjemnością odpisze na Twój ewentualny list. Na razie przesyła Ci ukłony.

Hm... „Różyczka" obiecuje pogubić wszystkie kolce dzięki „Krainie"? To dobrze, to dobrze! Na razie całuję Ją i przechodzę do komunikatów:

„Wit z Poznania". Za późno ostrzegłeś mnie — zdążyłam schować się — choruję. Za pozdrowienia dziękuję i ślę miły uśmiech.

„Czarownica z Łysej Góry". Szalenie podobałaś mi się, może skrobniesz?

Dla „Chochlika" i „Kropelki leśnej rosy" moc serdecznych pozdrowień!

Kochane „Krainianki" i „Krainiacy", piszcie, odpowiedź żelazo - beton!

POWIEDZ SAM!...

„Harry Cortez". Co ma „Kochana Pani" zrobić z podobnym Tobie nieznośnikiem, który uparł się zmienić pseudonim? Powiedz sam? Chyba zgodzić się na tę zmianę, co też niniejszym czynię.

Bajeczny jest ten Twój list, od owych przepowiedni począwszy, a na owej „Inwitacyji Nowego Roku" skończywszy. Bodajbyś mi zawsze tak zdrów i w humorze był, jak onegdaj! Pisz, Smyku jeden!

NIE WIŃ!...

„Jadwiga Limba". Mam przed sobą trzy Twoje listy i pocztówkę. Ostatni Twój list, Droga Moja Dziewczynko, porusza wiadomą Ci sprawę. I tu muszę przesłać Ci kilka słów wyjaśnienia. Otóż sprawa przedstawia się stanowczo mniej nieprzyjemnie, jak to sobie wyobrażałaś. Z zasady sekretariat naszego wydawnictwa nie przyjmuje listów obciążonych taksą dopłaty, bez wchodzenia w to, kto go przysyła. Listy takie zaleca się poczcie zwracać, jako niepodjęte przez adresata. Mała tragedia z Twoim listem polegała na tym, że w sekretariacie nie zauważono, iż nie był on zaopatrzony w adres nadawcy. Lecz przy setkach listów wpływających codziennie do naszego wydawnictwa, nie było to takie znowu dziwne.

Co do mnie, to wcale nie wiedziałam, że Twój list wpłynął i przez pomyłkę na takie przykre został narażony perypetie.

Zresztą nie mogłam tego w żaden sposób wiedzieć, gdyż jak Ci już wyjaśniłam, nie odbieram poczty bezpośrednio. Duże wydawnictwo, to skomplikowana machina, w której pracuje masa osób, a z nich każda w swoim dziale. Ja mam pod opieką całość tygodnika i „Krainę", a już na przykład sprawy administracyjne nie dotyczą mnie wcale. Dlatego proszę nie wiń mnie za to przykre intermezzo w naszym do tej pory harmonijnym obcowaniu na odległość.

Co do owego listu, to natychmiast przesłałam go na miejsce przeznaczenia.

Wierszyk „S. O. S." przekazałam do przedruku. Następne Twoje prace znalazły się już w teczce Wujka Janusza i tam odczekają swojej kolejki. Komunikaty:

„Halo! „Lucet", list wysłałam. Czekam na dalszy ciąg „pogwarki". Pozdrawiam najserdeczniej.

„Orlica". Miłe pozdrowienia. Proszę napisać — odpowiedź pewna.

Słowa uznania dla nadwornego poety „Krainy" p. Józefa Baranowskiego za jego nieszablonowe — prawdziwe poezje.

Również ciepłe słówko dla p. Mieczysława Grzegorskiego za wiersz p. t. „Młodość". Jest jakby napisany dla mnie — starzejącej się już istoty...

Dużo szczerych pozdrowień dla mojej pseudonimowej siostrzycy: „Samotnej Limby", dalej „Przeklętej Iwy", „Uśmiechu Szatana" i „To - ja".

Dla wszystkich wyznawców wypchanej „Wujkowej Teczki". Specjalne pozdrowienia od „Cioci Drypci" dla starszego wąsatego jegomościa „Samotnego Chorzów I."

PRZECZYTAJ UWAŻNIE!

„Królewna Śnieżka". Przyjmuję Cię do naszego grona, Dziewczynko, lecz proszę, abyś szybko nadesłała mi list ze swoim dokładnym adresem i wzmianką, jaki pseudonim chciałaś mieć poprzednio oraz jaki masz obecnie. Zrozum, że ja nie mogę wiedzieć z kim mam do czynienia, gdy ten ktoś nie poda swego adresu. Tobie się zdaje, że powinnam wiedzieć do kogo się zwracałam o obranie innego pseudonimu, lecz dowiedz się, że takich, których proszę o adres jest po kilku w każdym numerze i skąd ja mam wobec tego wiedzieć, który z nawoływanych odpowiada!

Wobec powyższego uczyń zadość mej prośbie możliwie jak najszybciej.

Nie wątpię, że znajdziesz w „Krainie" wiele życzliwych dusz i że będziesz tym uradowana.

A na razie przyjmij moje pozdrowienia!

„Halo „Burzo", jaka Pani piękna! Proszę przyjąć szczere słowa zachwytu.

„Senorita" i ja znajdujemy się w podobnych warunkach. Może zainteresujemy się sobą. Przesyłam milutkie pa!

Wszystkie „Krainianki" i „Krainiaków" serdecznie pozdrawiam i proszę pamiętać o nowicjuszce!"

PISZ CZĘSTO!

„Halina — Ślązaczka". Dziękuję za miłe słowa, skierowane pod adresem „Krainki" i moim i wzajemnie życzę Ci moc uśmiechów losu!

Pisz często — zawsze z przyjemnością porozmawiam z Tobą, a na razie pa!

„Kochanej „Kraince" ślę uśmiechy.

„Samotnemu Markowi" moc serdeczności. Dlaczego milczysz?

„Dżentelmen Śląski", zechce przyjąć milutkie pozdrowienie na łamach „Moich Powieści".

Może jaka milutka „Krainianka" skrobnie liścik do mnie? Lub też jakiś nieznany „Krainiak"? Odpowiedź murowana.

P. J. Baranowskiemu za śliczne wierszyki słowa uznania. Budzą we mnie zachwyt."

MAM NADZIEJĘ!...

„Wierna". Droga Moja! Tę sprawę prenumeraty dla Pani znajomej zleciłam załatwić naszej administracji i mam nadzieję, że teraz już wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Owszem, zdjęcia nadesłane mi przez Ciebie będą zamieszczone, jak Ci to przyrzekłam, lecz czekam stosownej chwili. Trzeba Ci wiedzieć, że w pracy redakcyjnej wszystko bywa regulowane i podciągane pod mianownik aktualności.

Oczekuję niecierpliwie przyobiecanego listu i posyłam Ci serdeczności.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ!

„Halszka z Torunia". Przyjmuję Cię do „Krainy". Miła Dziewczynko i z przyjemnością zamieszczam poniżej Twój apel.

Do pseudonimu dodałam określenie „z Torunia", aby odróżnić Cię od innej naszej „Halszki".

„I jeszcze ktoś!...

Wesoła Halszka pragnie ze wszystkimi „Krainiakami" podzielić się swą promienną młodością i dużo, dużo dostać listów. Czy prośba będzie spełniona? „Halszka" tak bardzo, bardzo prosi! Serdecznie pozdrawiam „Przedwiośnie", „Zuch Dziewczynę", „Belfra" — może skrobnie Pan co do mnie, nie jestem wprawdzie nauczycielką, ale chętnie będę korespondować. „Szyderczę" i w ogóle wszystkich członków „Krainy" pozdrawiam jasnym uśmiechem".

PRZYJMUJĘ!

„Wicher". Dziękuję Ci za nadesłanie adresu i przyjmuję Cię niniejszym oficjalnie do naszego grona.

Czuj się z nami dobrze i siej w naszych sercach uśmiech i pogodę. Wicher zawsze z sobą coś niesie i rozsiewa po drodze — wolę, aby to było ziarno pogody niż smutku i zgryzot.

Pisz często, a na razie przyjmij moje szczere pozdrowienia!

Komunikaty:

„Leśna dziewczyno", czy zgodzisz się napisać do mnie chociażby słówek kilka. Ja tak bardzo kocham las i Tatry! Sądzę, że się zrozumiemy. Pozdrawiam i czekam!

„Samotna Rusałko", podoba mi się Twój pseudonim! Napisz do mnie — dobrze?

„Wit". Zaintrygował mnie Pan. Na pewno znamy się. Proszę do mnie napisać, a wyświetlę tajemnicę"!

„Zbijobruku Poznański". Czy zgodzisz się na wymianę listów?

Dla „Tajnego Detektywa" moc pozdrowień. Oj, i ja lubię taniec!

O Allach Akbar! „Benie Akibo". Ty tutaj w Kraince? Dziwisz się, kim jestem, — co? Więc namyśl się dobrze i daj odpowiedź do Pani Zosi. Salem! Listy proszę kierować do Redakcji".

APEL

„Safo". Zgłaszając swój akces do „Krainy" zaznaczyła Pani, że zwracasz się do nas z sercem i prosisz o szczerą, prawdziwą przyjaźń. Sądzę, że się nie zawiedziesz i tak, jak dziś przyjmujemy Cię z ochotą do swego grona, zawsze serdecznie i szczerze będziemy Cię traktować.

Wiem, że masz zamiłowanie do literatury i że Twoja powieść była co dopiero drukowana w naszym tygodniku. Powiedz, jakże bym mogła o tym nie wiedzieć, skoro sama ją oceniałam! Sądzę, że wobec tego nie każesz mi się powtarzać.

Pseudonim Twój podoba mi się naturalnie — skróciłam go tylko nieco, bo nie uważam za konieczne dodawać określenia „grecka", skoro tylko jedna Safo była".

Wierszyki wręczyłam Wujkowi Januszowi.

Pozdrawiam Panią przyjaznym uściskiem dłoni i zachęcam do częstej z nami rozmowy.

APEL

„Mili „Krainiacy"! Tu zabiera głos „Safo" i prosi o serdeczne przyjęcie do rodzinki". Do setki brakuje mi „cosik" — siedemdziesiąt cztery „roki". Poważny wiek. Ha, cóż robić! Starość nie radość, śmierć nie wesele!

Mówiąc prawdę, chciałabym szczerze serdecznie porozmawiać z kimś również szczerym i serdecznym. Nie lubię ludzi uznających blichtr lub patrzących na życie i świat przez pryzmat swego osobistego solipsyzmu. Kocham przyrodę w bogatych jej przejawach i w ogóle wszystko, co tchnie niczym niefałszowaną naturalnością. Może któraś z Pań lub Panów o podobnych zamiłowaniach skrobnie do mnie? A może ktoś z „braci" literatów? Panie Witoldzie Zechenter, kolego po fachu i sąsiedzie przez „miedzę", może Pan skrobnie do sąsiadki z lewej strony „Avaxary"? Nie zapewniam „murowanym ani „betonowym", lecz wszystkim odpowiem w komunikatach. „Niemłoda", czy nie znam Pani? Byłaś podczas przewrotu w Rosji, jesteś w Warszawie jako profesor, pierwsze litery: J. S. Czy tak? Może się jednak mylę.

„Przeklęta Iwo", dlaczego Pani tak smutno?

„Assie", czy chciałabyś do mnie skrobnąć i opisać swoje podróże? Adres u Pani Zosieńki w Red.

Wszystkim „Krainiakom" serdeczne pozdrowienia przesyłam!"

WYJEŻDŻA DO EGIPTU

„As". Odpowiadam na dwa Pana listy, z których drugi zaskoczył mnie podaną wiadomością, iż wyjeżdżasz na czas dłuższy, najpierw do Czechosłowacji, a potem do Egiptu. Nawet nie mam pewności, czy przeczytasz jeszcze moje słowa, gdyż miałeś wyruszyć już około 10 lutego. Niemniej ślę Panu życzenia szczęśliwej drogi i wszelkiej innej pomyślności!

Skoro Pan wróci, proszę dotrzymać przyrzeczenia i podjąć znowu kontakt z nami, którzy mamy dla Pana dużo sympatii i życzliwości.

Jeszcze raz ślę Panu dobre życzenia i zamieszczam Jego pożegnalne komunikaty:

„Lucet". Dziękuję za miłe słowa. Wizytówka jest dla mnie równą zagadką, jak i Twoje pseudo. Przesyłam wiele uśmiechów jasnych w stronę N. T.

„Mała Konwalijka". Nie wolno tęsknić... bo życie... to życie! Napiszę kiedyś i dużo.

„Złoty promyczek słońca". Napiszę na pewno — na razie miłe pozdrawiam.

„Taka sobie Halina". Ściskam dłoń! Jesteś miłą dziewczyną i taką inną!...

„Charkowianka". Proszę mi wybaczyć — niestety nie miałem czasu, ale przyrzekam napisać, gdy tylko wrócę. Pozdrawiam!

„Mała Gwiazdeczka". Jesteś ciekawą dziewczynką — nawet się zainteresowałam.

„Szatynka z Podlasia". Proszę bardzo przeprosić w moim imieniu p. K. Z. — niestety, otrzymałem za późno. Wrócę — i będę dużo, dużo z Nim korespondował, a tymczasem mocny uścisk dłoni. Pani pięknie się kłaniam.

„Aviata". Dużo opiszę o tym, co Cię interesuje. W Algierze mam nawet kogoś bardzo miłego Bądź cierpliwy. Pozdrawiam.

Przesyłam wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" życzliwe słowa i promienny uśmiech".

NOWA „KRAINIANKA"

„Smutna dziewczynka znad Gopła". Dziękuję Ci, Dziecino, za nadesłanie adresu i od dziś proszę się uważać za rzeczywistego członka naszej „Rodzinki".

Nie wątpię, że „Krainiacy" okażą Ci dużo zainteresowania i sympatii i dlatego życzę Ci przyjemności w korespondowaniu z nimi!

Naturalnie, że możesz nadesłać swoją podobiznę — bardzo proszę!

Pozdrawiam Cię i przedrukowuję komunikaty:

„Halo, Marpol!

Polski Marynarzu! Co polskie, to kochane, i Ty kochany Marynarzy znad polskiego kochanego Morza zechcesz chyba podzielić się wrażeniami ze smutną dziewczynką, także znad wody, bo znad Gopła, a więc czekam!

„Błędny Ognik". Imponujesz mi swoim pseudonimem, a także i mundurem, zatem proszę o zamianę kilku słów, chodźby w komunikacie — dobrze? Pozdrawiam Pana!

„Maryl". Zaciekawia mnie osoba Pana. Kto Pan? Wspomina Pan o sławnym Biskupinie, owszem i ja byłam w tych okolicach, gdyż, niedaleko Żnina i Janowca mam kochaną koleżankę, pod pseudonimem „Marzące Oczy". Może Pan zechce coś do nas skrobnąć? Z miłym pozdrowieniem pozostaję.

„Eugeniusz Halman". Podobają mi się Pańskie wiersze, czytam je i podziwiam, gdyż są tak głęboko myślące.

Pozdrawiam wszystkich z „Rodzinki" i proszę o pamięć! Może i dla mnie zechciałby Pan łaskawie poświęcić jaki maleńki wierszyk? Będę się łudzić nadzieją! Ślę pozdrowienia oraz milusie pa!

„P. M. G. Sosnowiec". Zainteresowałam się Pańską osobą, i nader pięknymi wierszami, czy mogę liczyć na zmianę choćby kilku słów w komunikatach? Sądzę, iż nie odmówisz mi i poświęcisz jaki piękny wierszyk?

„Romeczko ze Lwowa"! Miła, kochana Romeczko! Oto mam takie życzenie, chciałabym zawrzeć z Panią

znajomość i wymianę komunikatów, gdyż Lwów dobrze znam. Jestem raz w roku we Lwowie u Mamusi, to Panią odwiedzę, zgoda? Czekam odpowiedzi? Ślę lwowskie serwus! Pa, pa!

„Marzące Oczy". Zdziwi Cię Kochana, gdyż powiem Ci, że naprawdę Twój pseudonim jest bardzo aktualny, bo Twoje oczy są naprawdę piękne. Kochana Kseniu! pisz do mnie częściej w komunikatach. Ja o Tobie pamiętam. Jak zajechałeś do domu? W Twoim towarzystwie chciałabym być zawsze, szkoda tych pięknych chwil razem spędzonych nad Gopłem! Lecz niestety, to co dobre, prędko mija. A zatem bywaj zdrowa. Całuję Cię Twa Smutna Saleczka. Pa!

CZY PRZEOCZYŁAŚ?

„Rajski ptaszek". Słusznie zauważyłaś, że pragnęłam abyś obrała sobie inny pseudonim z uwagi na to, że mamy już „Hajduczka" w „Krainie". Ale dlaczego miałaś się tego domyślać, skoro podałam to do Twej wiadomości w „Krainie"? Czyż byś przeoczyła tę moją odpowiedź?

Zresztą to mniej ważne, ważniejszym jest fakt, iż dziś uroczyście przyjmuję Cię do naszej „Rodzinki". Odtąd jesteś naszym członkiem z wszystkimi jego prawami, a za tym i z możnością przesyłania komunikatów na łamach „Krainy".

Jak widzisz, nie czekałaś długo na obecną odpowiedź — bądź zatem zadowolona!

Będę cierpliwie oczekiwała przyobiecanego listu z Twoją fotografią i już naprzód zapytuję, czy będę ją mogła zamieścić w „Krainie"?

Nowelkę Twoją przeczytam i ocenię później, gdyż na razie zbyt jestem zajęta.

Pozdrawiam Cię ciepłym uśmiechem i przechodzę do komunikatów:

„Ejgo... Ejgo". Pański liścik był kapitalny. Tyle w nim humoru! Strasznie lubię wesołość. Proszę napisać do mnie pod: „Rajski Ptaszek", Inowrocław 3 poste - restante.

„Mała Gwiazdeczko", napisz coś do mnie. Z listu Twego do p. Zosi wnioskuję, że kochasz swą Siostrzyczkę, ja również mam siostrę, którą bardzo kocham.

Oj, „Tyranie". Czy Pan jesteś naprawdę takim tyranem, jak piszesz? Boję się Pana, ale pomimo to ośmielam się prosić o liścik, gdyż ciągną mnie do Pana słowa „Śląsk Zaolzański". Pozdrawiam i oczekuję listu!

„Ferdy". Proszę nie zapominać, że i ja mam nerwy, których mi również, jak i Panu szkoda.

Zbyszku Wicherku! Śliczny był ten wierszyk pt. „Za tyle pięknych dni..." Ja też próbuję pisać, ale obecnie nie mam natchnienia. Ślę Panu pozdrowienia.

„Zielone Oczy". Czy to tylko pseudonim, czy Pan ma naprawdę zielone oczy? Jeśli tak, to proszę machnąć kilka słów pod wyżej wymienionym adresem.

„Podchorążaku z Grudziądza", czy ja mogłabym Pana poprosić o pewną maleńką przysługę? Jeśli tak, to proszę mi przysłać swój adres. Pozdrawiam Pana.

Pozdrawia wszystkich serdecznie i prosi o liściki „Rajski Ptaszek".

ZAŁATWIŁAM

„Maleńka Hali". Dziękuję Ci za nadesłanie adresu i życzę miłego współżycia z „Rodzinką".

Sprawę administracyjną załatwiłam.

Napisz mi przy okazji znowu taki miły list, a na razie przyjmij moje serdeczne pozdrowienia.

„Biała Uajali". Serdeczne i najmilsze pozdrowienia przyjmij ode mnie, proszę!

„Blady Kwiecie", ślę Ci pozdrowienia. Czy ucieszy Cię fakt, że jest ktoś, kto myśli o Tobie ze szczerą życzliwością?

„Niepoprawny Marzyciel". Ja też nie mogę się doszukać wokół siebie serdecznej życzliwości, a więc dlatego przesyłam Panu szczere, i miłe pozdrowienie. Może Pan pierwszy napisze?

„Biała Brzózka". Przyjmij serd. pozdrowienia i ucałowanie buźki bo choć jestem „ludziem" z miasta, ale kocham i rozumiem trochę wieś. Poza tym mamy prawie równe usposobienie, co mnie ogromnie ucieszyło.

„Wołyniakowi", „Wilniance" i „Królowej Gizelli" miłe i serdeczne pozdrowienia!

Całej „Kraince" moc radosnych uśmiechów zasyłam"!

TO DOBRZE!

„Biała Brzózka". Przyjemnie mi było dowiedzieć się, że u Ciebie wszystko w porządku. A czy w myśl spodziewań udało Ci się znowu wrócić do lasu?

Życzę ci dużo radości i oznajmiam w Twoim imieniu, że pragniesz otrzymać długi, długi list od kogoś nieznanego z „Krainy"".

A teraz komunikaty:

Serdeczne uściski dla „Szatynki z Podlasia". Spodziewam się, że Pani nie gniewa się na mnie.

Halo „Przybłędo leśny", interesujesz mnie z powodu, że Twój pseudonim ma związek z lasem — napisz do mnie pokrewna duszo!

„Płacząca Brzozo", nie płacz, wszystko, co złe, minie, napisz lepiej do mnie, swej siostry z pseudonimu.

Pozdrawiam „Wierzbę na pustkowiu", życząc jej aby nie była tak samotna, dalej „Irusię z Wołynia", „Rozbójnika" i „Tajemniczego Nieznajomego". Prosząc wszystkich o listy!

„Blondyn spod Grudziądza", już dawno chciałam do Pana napisać, ale nie mam odwagi — zrób to pierwszy!"

PRENUMERATA OPŁACONA

„Chinchilla". Czy jeszcze nie nawiązałaś kontaktu listownego z członkami naszej „Rodzinki"? Jeżeli nie, to ja proszę „Krainiaków" w Twoim imienim o pamięć! Mam tę wiarę, że mnie nie zawiodą!

Nie, stale nie musisz podawać mi swego adresu, zanotowałam go już w księdze „Krainiaków" i teraz wystarczy sam pseudonim.

Prenumeratę masz opłaconą do lutego włącznie.

Dziękuję za serdeczności dla „Krainy" i dla mnie i odwzajemniam się zapewnieniem sympatii.

TECZKA wuja Janusza

KIEDY SIĘ ZBUDZI...

Kiedy wieczorną ciszą
Zbudzi się tęsknot kraina,
Sercem smutki kołyszą,
A nad nim kir swój rozpina
Żałobą — późna godzina.

Eugeniusz Halman.

ORYGINALNE LITERKI NA LILIOWYM PAPIERZE

„Maleńka Hali". Miły jest ten Pani liścik i taki swobodny — gwarzysz ze mną, jakbyś mnie znała od wieków i od wieków darzyła sympatią. A jest to tak zaraźliwe, że i mnie się gwałtem zdaje, że znam Cię również już od Bóg wie kiedy!

Nie przyrzekam Pani, że ewentualne płody Jej przyszło-poetyckiej fantazji skarzę na spalenie, bo... bo przecież nie wiem, czy w ogóle popełnisz kiedyś jaki wiersz. Może i tak być, że gdy się już zabierzesz do rymowania, okaże się nagle, że drzemie w Tobie talent. Nie mogę przesądzać tych spraw na ślepo.

Ortografia Twoja — ale, co będziemy mówili o rzeczach nudnych. Wolę popatrzeć na Twoje oryginalne literki na liliowym papierze i uśmiechnąć się do nich miło na zakończenie pogawędki. Bywajcie mi literki na liliowym papierze!

NAJSTRASZNIEJSZA W MŁODOŚCI CHWILA...

O najstraszniejsza w młodości chwila,
Gdy miejsce w sercu poświęcone mogile,
Nad którą płaczą samotne marzenia,
Nad którą śpiew żałobny zawodzą wspomnienia,
Nad którą nie krzyż wyciąga ramiona,
Lecz miłość — co w sercu zszarpanym kona...

„Wiedźma z debry".

EJŻE!...

„Zabłąkany Chłopiec". Ejże, Miły Przyjacielu! List Twój wygląda mi na to, jakbyś zamierzał skończyć na tych kilku próbach swych sił na polu literackim — a ja nie radzę! Czuję, że w prozie jeszcze nieraz będziesz miał do powiedzenia coś niecoś! Tylko się nie zniechęcaj krytyką — krytyka winna być bodźcem do większego wysiłku, a nie do opuszczenia skrzydeł i rezygnacji!

Ściskam przyjaźnie dłoń i pozostaję pełen życzliwości.

TAK!

„Bajka". Miła Przyjaciółko!! Wywody Twoje mają wiele słuszności, nie przeczę, lecz można w nich niejedno zaczepić i zbić, jak zresztą tyle innych spraw w życiu! Nie będę tu o tym mówił, bo i miejsce po temu nieodpowiednie i czasu brak!

To jedno Ci powiem, że z radością stwierdziłem, iż rozwinęłaś w sobie umiejętność logicznego rozumowania i ścisłego myślenia. Przykładem Twój ostatni list. Tylko... tylko pragnę Cię prosić, abyś zanadto nie rozumowała, chcę, żebyś równolegle z tym nie straciła swej radosnej, młodzieńczej beztroski i młodzieńczego czaru. Tak!

A teraz pozdrawiam Cię b. serdecznie i zamieszczam Twoje komunikaty:

„P. Zb. Wicherku"! Kapitalna była Pana nowelka w świątecznym numerze pt. „Wesoła Wigilia" — chyba na ustach wszystkich „Krainiakóww" pojawił się w trakcie jej czytania wesoły uśmiech. Oby tak kiedyś w przyszłości było! Proszę przyjąć ode mnie miłe pozdrowienia!

Pozdrawiam także wszystkie autorki i autorów wierszy i nowel w „Moich Powieściach".

WIEŚ.

Ukochaniem swoim, szczycąc się dumnie,
Wsi moja, pozdrowienia ci śpiewam —
Wychodź gościnnie na rozstaje ku mnie:
Lasy w ośnieżeniu i samotne drzewa.
Lśnisz we mnie zasłuchaniem w głuszy,
Srebrem twych spojrzeń nieraz mnie uderzasz,
Powiewami drzew na rozstajach mnie kusisz,
I czarem swoim, jak falą ciepłą, z dala oblewasz.
Wsi tylko mojej mogę pieśni śpiewać
Słowami, które ty jedna rozumiesz —
Najcichszym westchnieniem tęsknoty owiewać
I dumą cichą pod wieczór w jej drzewach szumieć.

„Gladiator".

SŁONECZKO

Płyną chmurki, płyną po nieba błękicie
I budzą słoneczko raniutko o świcie.
Słoneczko zbudzone złoci jasne chmurki
I ciekawie patrzy na lasy i wzgórki.

Na pola zielone, na niwy złociste,
Na chaty wieśniacze i na wody czyste.
Nad wszystkim troskliwą opiekę roztacza,
Aż zmęczone pracą na zachód się stacza.

„Zaira".

„JA SIĘ NIE BOJĘ"

Ja się nie boję ciernistych dróg życia,
Do walki staję odważnie i śmiało,
Przed żywiołami nie szukam ukrycia
I wielkich przygód dla mnie zawsze mało.

Jestem „królowej dobroci" rycerzem,
Piosnka nie schodzi z ust mych korali,
Uśmiech beztroski moim pancerzem,
A życie płynie na szczęścia fali...

Jeżeli ktoś pyta lub czasem się dziwi,
Kto moją duszę jasnością wzbogaca —
Odpowiem: wyście bezbożni, leniwi,
Moją skarbnicą modlitwa i praca!

Irena Maria Wójcikowska.

REMINESCENCJE

Słuchasz pieśni dawnej
I łkasz w smutku, duszo...
Że chwile minęły, że ich nic nie wzruszy
Do nowych uniesień, do zaklęć i czynów,
By na skroń swą kładły —
Zwiędły liść wawrzynów.
Ty słuchasz tej pieśni, ona cię nie boli?
Patrz, wszak twoje szczęście odchodzi powoli...
Czemu go nie wołasz, nie zatrzymasz siłą?
Może by zostało tak, jak dawniej było?...
Ha! ty słuchasz, duszo, tej bolesnej pieśni...
O! już przebrzmiał akord —
Sen się nie cieleśni...
Wszystko już minęło — nowa życia droga.
Starą prozą smutku , wlecze się nieboga.
Ha! ty słuchasz, duszo, cichych wspomnień dzwonów
Łkających łzę smutku dawnych cichych tonów.
Słuchasz? Wchłoń je w siebie;
Idę nową drogą —
Będę drogowskazem — bodźcem
I... przestrogą!

„Biała Uajali".

GARSTKA WSPOMNIEŃ

Garstka wspomnień sprzed laty,
Z dni dzieciństwa, z beztroski
Garstka wspomnień sprzed laty,
Z ukochanej mej wioski.
...Biały domek i kwiaty
I biegnąca w dal droga...
Widzę, jakby przed laty
I zapomnieć nie mogę!
I jezioro pod lasem,
Co się wiecznie pieniło
I błękitnym wód pasem
Las od pola dzieliło.
W lesie brzozę płaczącą,
Nad mogiłą powstańca...
Co dzień inną szemrała
Tajemnicę różańca.
A do ruin zamczyska
Pamiętam, żem się bała
(jak byłam taka mała)
Podejść zupełnie blisko.
Nic zapomnieć nie zdołam
Z ukochanej wioseczki.
Ni tych dzwonów kościoła,
Ni pastuszej piosneczki.
Garstkę wspomnień sprzed laty,
Z ukochanej mej wioski
Wplatam dzisiaj w swe troski,
W żywot w smutki bogaty.

„Czarodziejka".

UBÓSTWIANA.

Dziś przejrzałem twoje listy,
Słodycz i czar promienisty,
W każdym słowie mieści się,
Choć mijają lata, lata —
Dusza ma ku niebu wzlata,
Gdy wymawiam imię twe...
Rena! Och, to imię skromne
Gdy przeczytam, lub gdy wspomnę,
Wraca cud minionych dni,
Znika z serca zasmucenie
I powraca wnet natchnienie
Do poezji, wierzaj mi!
Miałem wciąż tematy nowe,
Kiedym swą zmęczoną głowę
Na ramieniu twoim wsparł.
Byłaś taka ubóstwiana,
Byłaś taka rozumiana!...
Dziś się smutek w serce wżarł...
Ciebie żal mój nie przejmuje,
Tobie świat dziś imponuje,
Marzysz o rozkosznych dniach,
A mnie rozpacz wciąż ogarnia,
Dla mnie życie — to męczarnia,
Gdy samotny tonę w łzach...

Mieczysałw Grzegorski

I Erna również na trzeci dzień znajomości zwierzyła mu się ze swego zawodu z powodu przeciągającego się narzeczeństwa.

INTRYGA ERNY

Po partii tenisa wracali na teras zamkowy. Na samym końcu szła Erna z Erykiem.

— Abi nie proponował panu przejażdżki do swojej ostatniej flammy?

— ??? — Zdziwione spojrzenie młodego człowieka.

— Jeszcze nie, to dziwne!... — ciągnęła Erna.

— Któż jest tą „flammą"? — dopytywał się.

— Niech pan zgadnie!

— Koń... samochód...

— Nie zgadł pan. Dziecko! Chłopiec siedmio czy ośmioletni, wykapany portret Abiego w miniaturze.

Patrzył na nią niedowierzająco.

— Ależ tak... tak... — potwierdzała niecierpliwie.

— A pani co na to?

— Ja... cóż ja?... — wzruszyła ramionami. udając obojętność. — Mnie to bawi.

Spojrzał na nią z ukosa kątem oczu.

— Wobec tego będzie pani ideałem żony. Ale niech mi pani bliżej to objaśni, panno Erno.

Potrząsnęła głową na usta jej wypełzł zagadkowy uśmiech.

— Musi pan sam dociec.

— — — — — —

Baron i Eryk wybrali się o świcie na polowanie na kaczki.

Wracali przed wieczorem z dużym żniwem cyranek i kaczorów, które niósł za nimi strzelec, brnąc przez mokre łąki.

— Co to za historia z tym jakimś chłopcem ?— zagadnął Eryk.

Baron przystanął. Po twarzy jego przemknął wyraz niechęci.

— Już ci Erna naplotkowała! Co za niepoprawna dziewczyna! Sam się przekonasz... Nie mów tylko Ernie, dokąd jedziemy. Nabiła sobie głowę podejrzeniami i robi mi sceny.

— Idziesz pod pantofel, przyjacielu — pomyślał Eryk. — Gdzie się podziała twoja harda natura, twoje nieopanowanie, niezależność?

— — — — — —

Przyjęła ich pani Namielska.

Dzieci z babką poszły do leśniczego po jabłka.

Młoda kobieta ubrana była jasno, w różową sukienkę, dobrze skrojoną, gustownie uszytą i wyglądała w niej ładnie i elegancko. Nie będąc piękną, miała swoisty wdzięk i wrodzoną wytworność.

Na widok Eryka, nie okazała żadnego szczególowego zainteresowania, nie wyraziła w niczym zaniepokojenia lub podenerwowania.

Na pytanie gdzie dzieci, odpowiedziała, że są na spacerze z babką, ale zaraz wrócą.

— Jurek byłby niepocieszony, gdyby nie zobaczył pana — zwróciła się do barona.

Nie prosiła ich, aby weszli. Siedzieli na ganku, który w lesie służył jej widocznie za jadalnię i salon, bo stał stół nakryty płócienną serwetą, leżak fotel trzcinowy i krzesła.

Eryk przyglądał się jej ukradkiem. Rysy raczej zwykłe, owal twarzy normalny, tylko oczy i uśmiech mogły przyprawić niejednego mężczyznę o zawrót głowy.

— I te ręce kształtne, drobne, z obrączką na czwartym palcu, ręce artystki.

— Jedziemy do Upierowa; chcę pokazać przyjacielowi zwierzyniec — objaśnił baron, usprawiedliwiając swoją wizytę.

Pani Namielska zwróciła się do Eryka z uprzejmym uśmiechem:

— Pan pierwszy raz w tych stronach? Jak się panu podobają?

— Tak, proszę pani. Uważam je za śliczne, szczególnie te lasy.

— Ja się tu wychowałam, więc dla mnie mają te lasy ogromny urok.

— Nie tęskni pani za szerszym światem, za ludźmi?



Sonia Henie ze swym partnerem Stewartem Reburnem podczas jednego ze swych występów w Ameryce

Pokręciła przecząco głową.

— Nie. W Bremie byłam na pensji, w Berlinie mieszkałam jakiś czas; mimo to nie ciągnie mnie tam. Tu się czuję najlepiej.

Popatrzyła z natężeniem w las.

— A oto i dzieci.

Jurek na widok breku biegł, co miał sił. Stanął zadyszany, ale rozpromieniony, przed gankiem. Lecz obecność obcego pana zażenowała go. Zatrzymał się przy stopniach onieśmielony. Lecz baron szedł mu już na spotkanie. Ujął go za rękę i podprowadził do towarzysza.

— Jurek Namielski — Eryk Neumann — przedstawił go z powagą.

Eryk przyglądał się z zaciekawieniem dziwnemu podobieństwu chłopca do barona.

— Jakiś grzech młodości w ciemnym borze lub w garsonierze — myślał z pobłażaniem — ale udał mu się chłopiec! I to podobieństwo! — Spojrzał na matkę dzieciaka. Zdziwił go chłód i jakby zaciętość, malująca się na jej twarzy. — Głupia, gdyby chciała skarżyć o alimenty, zapłaciłby i grubo!

— Gdzie zgubiłeś siostrzyczkę? — pytał baron Jurka.

— To beksa — odpowiedział pogardliwie. — Biegła za mną, że nie mogła mnie jednak dogonić, rozpłakała się i wróciła do babci.

Baron wstał:

— Wobec tego chodźmy jej na spotkanie.

— — — — — —

Eryk i p. Namielska zostali sami.

— Czy nie żal pani przeżywać życie, swoje młode lata w tej głuszy leśnej? — zagadnął ją.

Uśmiechnęła się tajemniczym, abstrakcyjnym uśmiechem.

— A może ja lituję się nad panami i uważam, że panowie tracą lekkomyślnie swe męskie siły w pogoni za bezmyślnymi przyjemnościami...

Zaskoczyła go. Spodziewał się żalu na los, narzekania na ciszę i nudę.

— No, my wiemy przynajmniej, że żyjemy. Widzimy koło siebie ruch, zawrotne tempo nowoczesnego życia — a pani w tej głuszy zamknięta jest jak zaklęta królewna w zielonym grobie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



W Paryżu odbyło się wesele cygańskie, podczas którego skradziono pannie młodej naszyjnik z złotych monet. Na zdjęciu pan młody ogląda naszyjnik jeszcze przed jego zniknięciem

Jej pierwsza miłość

(NOWELA)

Poświęcam Panu Pawłowi G.

Była niedziela. Dzień był gorący i duszny; ludność małego miasteczka odpoczywała po tygodniowej pracy. Jedni wędrowali na zielone łąki okalające miasteczko, drudzy spacerowali po ulicy, każdy wyzyskiwał dzień świąteczny podług upodobania. Pod wieczór niebo zaciągnęło się chmurami, i po chwili zaczął padać łagodny deszczyk czerwcowy, który lekką rosą błogosławił ziemię.

Na ulicach zapanowała cisza. W pewnej chwili ciszę tę przerwał stuk otwierającego okna, przez które wyjrzała młoda dziewczyna, chłonąc pełną piersią czyste powietrze. Chłodny powiew wiatru rozfalował jej bujne ciemne włosy, okolone błękitną wstążeczką. Niebieska sukienka otulała jej zgrabną figurę. Duże szafirowe oczy błyszczały nietajoną radością życia. — Ach, jak cudnie na świecie, szepnęła po chwili do siebie, dobrze by było, gdybym miała z kim pójść do parku, zobaczyć jak cała przyroda powraca do życia. Szkoda, że jestem stale samotna i bez towarzystwa. A ci tam? Spoirzała na przeciwległą stronę, gdzie wznosił się piękny gmach szpitalny. Czy tam są także ludzie szukający towarzystwa?

Ciemne jej oczy pociemniały jeszcze bardziej. Ile jęków, ile bólów tam dziś można odczuć i pewnie niejedno ciężkie westchnienie popłynęło za mury szpitalne do słońca i kwiatów.

Myśli jej nagle zostały przerwane, gdyż w jednym z okien szpitala na pierwszym piętrze stanął jakiś mężczyzna, szukający widocznie również wytchnienia i ożywczego powietrza.

Spojrzał na dziewczynę ciekawie, a jej ciało, jakby prąd elektryczny przeszył. Sama nie wiedząc, czemu zapłonęła cała, ze złością zapuściła firankę i odeszła od okna.

Dr. Paweł roześmiał się. — Rozgniewałem ją! Ciekawym kto to może być. Dobrze wygląda w tej niebieskiej sukni, a z błękitną wstążeczką bardzo jej do twarzy.

Już chciał odejść, gdy go do miejsca przykuły dźwięki serenady Szuberta śpiewanej miękkim, czystym jak kryształ sopranem. Pieśń płynęła z okna, przy którym niedawno stała dziewczyna z niebieską wstążką.

— To ona śpiewa — szepnął doktór Paweł.

— Wyjdź, ja czekam Cię — popłynęło w ostatnich akordach.

Dr. Paweł nie namyślając się długo wziął rękawiczki, kapelusz i wyszedł na ulicę, spojrzał przy tym jeszcze w sąsiednie okno; tam, jednak nie było nikogo.

Paweł był mężczyzną dwudziestosiedmioletnim, wysokim i postawnym, jak nikt w miasteczku. Czarne, hebanowe włosy i rogowe okulary zdobiły jego profil jak z kamienia wykuty. W brązowo-popielatym ubraniu robił wrażenie olbrzymiego dębu, którego burza tak szybko nie zegnie; wyglądał raczej na takiego, przed którym się wszystko giąć lub łamać musi....

Dnie upływały. Codziennie rano młoda dziewczyna budziła doktora ze snu piosenką.

Dziewczyna radosny głos posyłała swemu sąsiadowi na przeciwległą stronę.

Widywali się codziennie przechodząc na ulicy obok siebie, lecz żadne słowo między nimi nie padło. Doktór Paweł tak często spoglądał ze swego okna w sąsiednie okno, gdzie dziewczyna odwrócona do niego plecami uporczywie pracowała nad jakąś robótką. Myśli jej często wędrowały w stronę kortu tenisowego, szpitala lub parku, gdzie przebywał młody asystent. Odpychała te myśli od siebie, ale one natrętnie same wracały.

— O czym marzysz? — padało teraz dość często pytanie z ust matki, — jakoś w ostatnim czasie posmutniałaś; czy masz jakieś zmartwienie?

Dziewczyna tylko zaprzeczyła głową i na dowód, że jej niczego nie brak, zaśpiewała pełną piersią, lecz w połowie urwała, spojrzała dziwnie w okno, a potem rzucając robótkę na otomanę wybiegła z pokoju do ogródka, gdzie kwitły wonne maciejki i stokrotki. Matka badawczym wzrokiem spoglądała na dziewczynę, i spostrzegła w jej zachowaniu coś, co ją zaniepokoiło. Zrozumiała wszystko, co dziewczyna starannie ukrywała przed samą sobą.

Tymczasem dziewczyna osłabiona i nękana silnymi wrażeniami osunęła się bezwładnie na trawnik, i ciałem jej wstrząsnął rzewny szloch, płynący z głębi udręczonego serca...

Tygodnie mijały, dziewczyna coraz rzadziej ukazywała się w oknie. A radosny śpiew i serdeczny śmiech rzadko teraz dobiegał do uszu doktora Pawła.

Gdy jej parę dni już nie widział, robiło mu się smutno, poczuł się osamotnionym.

W pewien poniedziałek dostał telegram, który go wzywał natychmiast do Poznania.

Nie bardzo się tą wiadomością ucieszył, nie mógł sobie tego darować, że się z tą dziewczyną nie zapoznał wcześniej. Teraz musiał wyjeżdżać a tak chętnie uścisnałby jej ręce, i podziękował za miłe piosenki, które go tak często wyrywały z szarej zadumy i były mu miłym towarzyszem w samotności. Toteż tego dnia tak długo stał przy oknie, z tą myślą, że dziewczynę chociaż jeszcze jeden raz zobaczy.

— — — — — — — —

Wreszcie poranek rozbłysnął bogactwem barw. Dziewczyna szeroko otworzyła okno. Zakołysały się drzewa, cichym szeptem wionęły kwiaty, strojne brzozy, spowite w białe cętkowane atłasy, zatrząsnęły się mnóstwem listków drobnych, błyszczących, jakby powleczonych emalią. Kwiaty i krzewy oraz drzewa witały dzień radosnym poszumem.

Rozjaśnił się czysty błękit nieba i kryształ powietrzny. Słońce wstawało za jutrzenką rozradowane, szczęśliwe. A ziemia cała i wszystko to, co umiało śpiewać, odczuwać, świergotać, wzniosło w górę uroczysty hymn.

Okno w pokoju, przy którym stała dziewczyna , było szeroko otwarte. Muślinowe firanki poruszał lekki powiew rosnącego pod oknem drzewa.

Seledynowe zwieszały się liście, drżące, jakby żałośnie spływające łzy.

Jutrzenka stroiła różem białe muśliny firanek i niosła purpurę nad głowę samotnie stojącej przy oknie dziewczyny.

Dziewczyna zobaczyła nagle jak ze schodów szpitalnych znosił tragaż walizy, a za nim wolno schodził doktor Paweł. Kiwnął dziewczynie na pożegnanie, odjeżdżając na zawsze i uśmiechnął się przytem. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, ale tak jakoś sztywno, bo w tym uśmiechu zobaczyła coś co ją zmroziło.

Oddychała bardzo słabo, szyja i skroń pulsowały gwałtownie, lecz tempo zwalniało się stopniowo, a ręce opadły bezwładnie wzdłuż bioder.

Cisza wielka, cisza mistyczna spłynęła do pokoju.

Nagle w tę ciszę uroczystą posypały się delikatne rytmy, jak trele fletu, ze złota i cudnych pereł; na drzewku za oknem zaśpiewał ptaszek i muzykę swą posyłał wysoko aż do różowych zórz na niebie, aż do roztoczy słońca. Król dnia wyjrzał już z poza seledynowej wstążki, ostatniej z bogactw jutrzenki.

Ptaszek trelem swym przywabiał jasne duchy z błękitów aż do stóp Wszechmocnego, aby spłynęły w to okno, otwarte, a ciche jak w kaplicy i tyle uczuć płynęło wysnutych z piersi ptaszka, i tyle modlitwy, że pierwsze zorze różane zaczęły dążyć w tę stronę, zabierając wszystkie barwy niebieskie.

Dziewczyna błędne źrenice wpiła w oddalającą się postać Pawła i bez jęku, bez słowa, tylko z dziwnym wyrazem oczu zachwiała się, i jak podcięty kwiat, osunęła na podłogę. A na zielono umajonym drzewku ptaszek śpiewał dalej i trelami swymi zakończył jej pierwszą czystą i głęboką miłość!

— — — — — — — —

Po paru miesiącach dziewczyna z błękitną wstążką na włosach znowu stanęła przy oknie, lecz jakże zmieniona! Różowe policzki zbladły, duże fiołkowe oczy pociemniały jeszcze bardziej, ale straciły swój dawny radosny blask. Patrzały teraz tępo przed siebie i żadna piosenka nie popłynęła z jej ust, od owego tak bardzo bolesnego dnia.

W jej pamiętniku można było przeczytać słowa, które pisało serce targane rozpaczą i zwątpieniem, aż wreszcie zrównoważone, to znowu zupełnie obojętnie znoszące swój los.

„Ty nie wiesz, że często w wieczornej godzinie rozmawiam z tobą i wizję twoją pieszczę słowami cichymi i tak bardzo tęsknię za widokiem twym. Ty nie wiesz i nigdy nie dowiesz się o tym, czy cię gonię myślą, czy płaczę, albo z pogodnym czołem podążam naprzód. Nie wiesz i nigdy nie dowiesz się o tym, jak proste bywają ścieżyny wiodące do szczęścia, jak łatwo tchnąć można radość lub ból w duszę młodą. Dlaczego los złamał mi życie i dlaczego, pytam się, zgasł blask ideału, co mi był nad życie drogi? Dlaczego serce zapomnieć musi, zamilknąć w sposób tak okrutny?

Bo cóż cię, doktora, obchodzić mogła dziewczyna, która niejedną noc przesie-

działa nad książką, ucząc się, aby przez życie utorować sobie drogę. Ty jesteś majętny i masz tytuł. Będziesz sławny.

A cóż ja znaczę? Dziewczyna nieznana nikomu, która w niejedną noc pisała wiersze lub powieść z myślą o Tobie.

Ty nie wiesz, żeś może sam nieświadomie zdeptał swoją silną stopą męską uczucie i młode serce człowiecze, które tak bardzo krwawi i boli, serce, którego rany, być może, nie zagoją się nigdy!

Ty także nie wiesz, że tęsknymi oczami patrzę w dal i nic takiego nie widzę. Kochające mam serce, choć nigdy nie będę kochaną wzajemnie. Dlatego nie będę nigdy szczęśliwa.

Będę szła przez całe moje życie banalną drogą i będę odbijała w sobie sztuczne, fałszywe światła chińskich latarni lub ogni bengalskich. Jak zimna przezroczysta woda, światu pokazywać będę uśmiechniętą twarz, choć wewnątrz tak bardzo boli, i dziś już się nie cofnę przed jutrem bolesnym. Muszę wytrwać mężnie do końca dni swoich.

Czy ty czujesz, że życie dałabym za ciebie. Ach, gdyby Ci choć przeczucie powiedzieć chciało, jak jam dawno się nie śmiała.

Ty nie wiesz, że będę cię samotnie kochała z tą myślą, że kiedyś przeminą długie dni tęsknoty i jawą stanie się baśń, że kiedyś pójdziemy razem księżycową drogą!"



Żaglowiec harcerski „Poleszuk" odbywający podróż dookoła świata, zawitał do portu Dakkar w Afryce Wschodniej.

KRYSTYNA WALIGÓRSKA

Powrót

NOWELA

(Dokończenie)

— Agnieszka zatrzymała się i popatrzyła na swoją panią. Ale nie pytała o nic — powiedziała tylko: „Słucham panią" i wyszła. —

Nagle ostry dźwięk dzwonka...

Po chwili Maria słyszy głos Lilki i starszy pieszczotliwy głos Agnieszki.

Maria odwraca się. Prędko otwierają się drzwi i staje w nich prześlicznej, delikatnej urody, szczupła dziewczynka w szkolnym mundurku. Jasne włosy, piękne włosy odziedziczone po matce są w wielkim nieładzie. Można poznać, że to gwałtownie ściągnięty beret szkolny, zburzył czuprynkę. Duże niebieskie oczy są jakby wzburzone, a potem kiedy zwracają się ku Marii stają się radosne. Jak gdyby dla Lili ulgą był widok matki, po jakichś przykrych doznaniach. Rzuca się matce na szyję. — „Och, mateczko, jak to dobrze, że jestem w domu, jak to dobrze, że jesteś tu i czekasz na nas" — przytuliła się gwałtownie do matki, obsypując ją licznymi pocałunkami i powtarzając: „Kochana mateczka nasza". — Po chwili wzrok dziewczynki pada na puste miejsce ojca na stole. — Nie ma nakrycia — wyrywa się z objęć matki. — „Gdzie tatuś, mateczko, gdzie tatuś?" — „Nie będzie dziś w domu na obiedzie, ma jakąś pilną pracę" — odpowiada Maria na pozór spokojnie, lecz zdziwiona jest tym pytaniem, wszak często zdarzało się, że ojciec nie jadał w domu. — Lila uspokoiła się. „No tak, tatuś pracuje, ale to tak dobrze, jak jesteśmy wszyscy w domu... ty mateczko, tatuś... Jerzyk i ja"... — Słychać otwieranie jakichś drzwi i do pokoju wchodzi Jerzyk. Duży, wyrośnięty chłopak o inteligentnej wyrazistej twarzy. Wita się z matką, siostrę unosi w powietrze i robi z nią zawrotny wir. „Jerzyk puść... oj Jerzyk, zaraz puszczaj, kręci mi się w głowie". — Jerzyk ze śmiechem rzuca ją na kanapę, a potem podchodzi do radia.

Maria siada na kanapie obok córki i głaszcze jej zwichrzone włosy. — „Dlaczegoś tak późno dziś wróciła Liluś? Zatrzymali was dłużej w szkole?" —

Oczy Lili ogarniają matkę, brata, cały pokój... A potem przytuliwszy się lekko do matki, mówi: „Nie mateńko, wyszłyśmy o zwykłej porze, tylko po lekcjach poszłyśmy z Ewą do Stachny Górskiej, wiesz, tej, która chodziła ze mną do szkoły zeszłego roku i tak często do mnie przychodziła? Dowiedziałyśmy się, że jest bardzo chora i umówiłyśmy się z paroma dziewczynkami, że pójdziemy ją odwiedzić. Ale potem inne zapomniały, pamiętała tylko Ewa i ja. I myślę, że to bardzo dobrze, że tylko my dwie byłyśmy... bo Stachna mówi, że nie chciałaby żeby wszyscy wiedzieli o jej nieszczęściu... Bardzo daleko Stachna mieszka, w takiej okropnej, brudnej kamienicy. Nie mogłyśmy jej odszukać Wreszcie wskazano nam jakieś drzwi, do których Ewa zapukała. Nikt nie odzywał się dłuższy czas więc weszłyśmy same. Drzwi były otwarte. I wyobraź sobie mateczko, w takim wązkim, małym, takim brudnym pokoiku na wąskiej kanapce leżała Stachna. Usiadła, zobaczywszy nas, otuliła się po samą szyję kołdrą i patrzyła na nas taka przerażona, jakby ujrzała duchy. Ja trochę zlękłam się i stałam z daleka, lecz Ewa doszła do niej i zaczęła coś mówić. Więc Stachna trochę się uspokoiła, ale nie chciała nic mówić, ani jak się czuje, ani czemu jest sama, czemu nie chodzi do szkoły — nic — zaczęła się. Dopiero jak zaczęłyśmy jej opowiadać o szkole, nauczycielach, koleżankach, to Stachna... — mateczko — zaczęła tak straszniej płakać, że nie mogłyśmy jej uspokoić i... aż... same płakałyśmy... razem z nią. I Stachna tak długo płakała i... potem... Och, ale to takie okropne, mateczko... Stachna opowiedziała nam o wszystkim. Ona taka jest biedna, taka biedna, mateczko... Bo jej mamusia nie jest taką jak ty, dobrą kochaną, najmilszą matuchną. Ona Stachnę nic nie kochała bo ją opuściła i jej ojca i... pojechała sobie gdzieś i... już nie wróciła do domu. Tatuś Stachny tak się z początku gniewał i zaraz odesłał Stachnę do matki, ale ta matka... to taka zła... taka... niedobra. (Oczy Lili pałały oburzeniem). Mówiła, że Stachny nie może zatrzymać przy sobie".

Lilka przestała mówić na chwilkę — łzy bezwiednie spływały po jej wątłej twarzyczce.

Jerzyk, który z początku zdawał się nie zważać uwagi na to, co opowiada Lila — teraz siedział przy głośniku, ale zwrócony ku opowiadającej. Siedział nieruchomo (jak jego ojciec — przeszło Marii przez głowę — taki ma surowy, oskarżający wyraz twarzy — ale kogo on oskarża — czyż by ją? Marię?) i słuchał. — Lilka opowiadała dalej...

„Znowu musiała wrócić do ojca, który I w ogóle tak się strasznie zmienił. I mateczko (twarzyczkę Lili wyniosło poważanie), on na pewno pije wódkę. Stachna nam tego nie powiedziała, ale Ewa mówi, że ona myśli, że ojciec Stachny z rozpaczy zaczął pić i dlatego tak wszystko traci... I Stachna tak się wstydzi wszystkich... I nikt o nią nie dba... mateczko... I nie może już chodzić do szkoły... Ojca jej, czasem parę dni nie ma w domu... A teraz Stachna jest chora i nikogo przy niej nie ma... i tak... płacze i tęskni za mamusią swoją...

A przecież jeszcze niedawno mieszkała w takim ślicznym domku z ogrodem i miała tatusia i taką śliczną mamusię. Prawie taką śliczną jak ty mateczko... tylko nie taką dobrą, mateczko. Bo jej mateczka zła... okropnie zła, bo zostawiła Stachnę samą."

Lilka miała twarzyczkę zalaną łzami, tak się przejęła losem swej koleżanki. Tuliła się do matki.

A Maria? Maria siedziała cicho. Zda się, jakby zamarła. Twarz jej była kredowo biała. Tak. Pan Bóg ostrzegł w ostatniej chwili przez usta dziecka. Teraz już wie, och rozumie dobrze jak ma postąpić. Jak to Lilka powiedziała? — „Bo jej mamusia nie jest taką jak ty, dobrą, kochaną, najmilszą mateczką. Ona Stachny nic a nic nie kochała, bo ją opuściła i pojechała sobie gdzieś..." To powiedziała Lilka, jej ukochana, śliczna dziewczynka. I widzi Maria tę chwilę kiedy jej córeczka wymawia te same słowa, ale o niej, o niej samej. „Zła, niedobra, okropna mateczka zostawiła nas". — Boże, Boże dzięki Ci, żeś uchronił mnie od nieszczęścia, cóż ja bym zrobiła szalona? Popełnić taką straszną zbrodnię na własnych dzieciach? Zadać taki ból wrażliwej, złotowłosej istotce. A syn? Cóż powiedziałby na to jej duży, nad wiek rozwinięty syn? — I spojrzała na Jerzyka. I zdaje jej się, że on patrzy na nią okiem sędziego, wydając na nią potępiający wyrok. O nie Jerzyku, przemawia Maria do niego najczulszymi słowy w myśli... Twoja matka nie opuści nas. Zobaczysz synku jak się ona teraz zmieni. Była tylko biedna, szalona, miała bielmo na oczach. Nie będziesz już na nią patrzał takim surowym, krytykującym wzrokiem. Będziesz znów przychodził do niej radośnie jak dawniej i będziesz jej zwierzała się ze wszystkiego. Prowadzi taką niemą rozmowę ze swym synem i głaszcze leciutko serdecznie, złote włosy Lili.

Agnieszka już dłuższy czas stoi z wazą przy stole. Wysłuchała opowiadania Lilki, a teraz choć zupa stygnie we wazie, nie prosi nikogo do stołu, nie mówi nic, tylko nieruchomo jak jej pani patrzy przed siebie...

Nagle oczy starej sługi spotykają się z oczyma swej pani. I Agnieszka cicho, ledwię dosłyszalnie, nieśmiało pyta.

— To jak to będzie, proszę pani, czy pójść po Jaśkę, bo... walizy już przyniosłam ze strychu.

Długo patrzy Maria na starą wierną sługę, a potem raptownym, lecz bardzo tkliwym ruchem przytula do siebie córkę i odpowiada:

— Nie Agnieszko, nie potrzeba już Jaśki a... walizy to może Agnieszka zanieść z powrotem na strych, już nigdzie nie pojadę.

A twarz poczciwej Agnieszki opromienił uśmiech jasny. Pełnym szacunku ruchem schyliła się do białych, delikatnych rąk swej pani. A potem jakby opiekuńczym ruchem zagarnęła obie swoje jasnowłose „paniuńcie" i podprowadziła je do stołu.

A Lila uczepiona u ręki matczynej zdziwiona pyta:

— Chciałaś wyjechać mateczko, dokąd tak nagle?

Maria poczuła na sobie wzrok syna, badawczy, przenikliwy. Zmieszała się na chwilę, ale w odpowiedzi wyręczyła ją Agnieszka.

— Miała mamusia wyjechać... miała... aniołku. Do Krakowa, do cioci Emilci, bo chora, ale już teraz chwała Bogu lepiej, już nie trzeba wyjeżdżać... Przyszła wiadomość, że wszystko dobrze.

Prędko mówiła Agnieszka, a potem porwała wazę ze stołu, biadając, że zupa na nic wystygła.

— Tak, Liluchno, już wszystko dobrze — powtórzyła Maria słowa Agnieszki. — Wcale nie chce mi się wyjeżdżać bez mojej Lili. Wyjedziemy sobie, ale wszyscy razem, jak będą zimowe wakacje. Wyjedziemy w góry, wszyscy. I mateczka stara, i Liluchna i Jerzyk (spojrzała na syna) i tatusia uprosimy, by rzucił na jakiś czas to brzydkie biuro i żeby pojechał z nami...

— Och, mateczko, jak to będzie ślicznie, Jerzyk będzie mnie na nartach uczył jeździć. I ty mateńko i tatuś musicie założyć narty.

Lila z radości schwyciła matkę wpół i zaczęła z nią tańczyć.

— Liluś, Liluś trzeba obiad zjeść. Chodź pręciutko łapska umyć, włosy poczesać, zaraz przyjdzie Agnieszka z obiadem.

Nie spieszył się do domu. Wiedział co tam zastanie. Pustkę. Przeraźliwą, niczym nie zastąpioną pustkę.

I dwoje opuszczonych dzieci, którym zastąpić musi teraz matkę, która odeszła od nich. Te kilka godzin od południa były dla Witolda Rudzkiego męką straszliwą. Nie przypuszczała nawet, żona jego Maria, że ten spokojny, zawsze taki zrównoważony człowiek umie tak cierpieć. Kiedy usłyszał w południe słowa żony: „Chcę rozejść się z tobą Witoldzie" — zdawało mu się, że leci w przepaść straszliwą... Potem opanował się. Wiedział, że nic nie pomogą jego perswazje i prośby, jeśli nie zdołała Marię powstrzymać miłość do dzieci. Wszak ze spokojem nawet mówiła o rozstaniu z niemi. Wszystko już ułożyła sobie z góry. To bolało go najwięcej, że po tylu latach, w których zawsze tak pewny był Marii — zawiódł się na niej. Wiedział przecież, że od jakiegoś czasu zmieniła się bardzo, że on już jej nie wystarcza, że dała się pociągnąć złudom powierzchownym, że ciągnie ją inny świat i inne życie. — Ale ani na chwilę nie wierzył w to, że mogłaby dać się zupełnie tym ułudom pociągnąć. — Wierzył w jej uczciwość i solidność, przede wszystkim jako matki.

Więc ten straszny zawód, jaki go spotkał, był dla niego ciosem nie do zniesienia. Ale umiał tak panować nad sobą, że nikt nie domyśliłby się tego, co się w nim dzieje.

Wybiła dziesiąta. Wstał wreszcie od biurka, ubrał się, wyszedł krokiem powolnym. Czeka go pewnie, dziś jeszcze, straszna misja, powiadomienia dzieci o wyjeździe matki. Nie mógł o tym myśleć.

Kiedy otwierał drzwi mieszkania, wyjrzała z kuchni uśmiechnięta twarz Agnieszki. Zdumiało to Rudzkiego. Kiedy doszedł do wieszaków, by powiesić palto, dostrzegł na zwykłym miejscu wiszące jasne futerko żony, obok płaszczyka Lili. Serce uderzyło mu silniej.

— Za wcześnie przyszedłem, jeszcze nie wyjechała.

Poszedł do swego gabinetu i usiadł przy biurku. Bał się wchodzić do innych pokoi. Weszła Agnieszka prosić na kolację. Już chciał powiedzieć, by mu ją podała w gabinecie, gdy nagle przez niedomknięte drzwi usłyszał krótki, głośny, radosny śmiech Lili. Zawtórował mu drugi, w którym rozpoznał śmiech Marii. Wstał i poszedł tam. Stanął na progu stołowego pokoju i tu oczom jego przedstawił się widok, który mu powiedział daleko więcej niż wszystkie słowa i wyjaśnienia. Przy bocznym stoliku w dużym, klubowym, wygodnym fotelu siedziała Maria, robiąc jakąś robotę, przy niej na stołeczku niziutkim Lila, a obok w drugim fotelu siedział Jerzyk i głośno czytał. Stał już tak chwilę na progu i patrzał. Jeszcze go nie zauważono. Poznał, że książka jaką syn czytał to „Krzyżowcy" Kossak-Szczuckiej.

Nagle Lila go dostrzegła i frunęła ku niemu, rzucając mu się na szyję z radosnym okrzykiem.

Maria spostrzegłszy męża pobladła i siedziała cichutko.

Kiedy po paru minutach siedzieli wszyscy czworo przy dużym stole, jedząc kolację, Lilka zaraz zaczęła opowiadać ojcu o projektach wakacyjnych...

— Pojedziemy tatusiu w góry, ale ciebie też ukradniemy, nie pozwolimy ci zostać w tym brzydkim, nudnym biurze. Musimy jechać wszyscy razem, prawda mateczko?

Oczy Marii spotkały się poprzez stół z oczami męża, trwożne, proszące, dobre. Witold zrozumiał mowę tych zawsze drogich i kochanych oczu i poważna twarz jego rozjaśniła się dobrym uśmiechem.

I od razu wszystko zło, koszmarne, prysło. Twarze wszystkich poweselały. Jerzyk nastawił radio, Lilka tuląc się do ramienia matki coś z żywością opowiadała ojcu.

— ...i widzisz tatusiu, Stachna jest taka biedna sama, nie ma takiej dobrej, kochanej mateczki jak my. I mateczka obiecała Stachnę sama zaprosić tu do nas i postarać się, żeby znowu zaczęła chodzić do szkoły.

Witold wiedział, że Maria powróciła do nich z dalekiej... bardzo dalekiej drogi i pozostanie już z nimi na zawsze.

KONIEC.



Dziarski krakowiak odtańczony podczas „Nocy polskiej"

RAJ KOBIET



Bd. 386

Co należy zabrać w góry?

Rękawiczki grube, wełniane, odpowiedni w kolorze szal i... dla pana pullower wełniany w paski, zrobiony z wełny zielonej i szarej. Dla pani pullower z niebieskiej wełny nakrapianej biało, połączony jednocześnie z szalem (i czapeczką) lub... bluzeczkę z krótkimi rękawkami i kamizelkę szydełkową zapinaną z boku i.. koniecznie ciepłe skarpety.

F. I. S, F. I. S.!...

Nie było tego śniegu i nie było! — Dziwili się wszyscy naokoło — podnosili głowy do nieba, patrząc na chmury — wciągali w siebie wiatr, wróżąc: halny idzie... będzie biało...

A narciarze wzdychali i wzdychali — wyciągali narty, smarowali, grzali i wąchali — ćwiczyli suchy trening po pokoju, by naciągnąć kości — i sztywne mięśnie! Bardziej uparci brali narty i plecak, maszerując w góry dla wprawy! — I co to za zawody?... Jakże pojedzie się z Kasprowego na łeb na szyję... co się stanie z wyciągiem saniowym — i co będzie z nową atrakcją Zakopanego — Gubałówką?...

Ale dobry Bóg — Przyjaciel narciarzy — uśmiechał się tylko do siebie — i czekał nieco przekornie na ostatnią minutę. Potem nagle zwołał swoich niebiańskich podwładnych i kazał wszystek zapas białych śmieci zmiatać na ziemię! ..Niech się cieszą dzieci!... Oj! cieszymy się wszyscy! Zakopane — włożywszy piękną, balową suknię z białego aksamitu, usianego brylantami, skrzącymi się tęczowo w zimowym słońcu — szeroko i gościnnie w ramionach tuli narty — kijki — sanie i zaróżowione od radości i mrozu twarze „szaleńców zimy".

I my chcemy tam być! Jakże radośnie i wesoło rzuca się pielesze domowe. by wpakować się w tłum nart — i za chwilę wypaść na szeroki, nowy i długi dworzec zakopiański! I oglądać... oglądać... dziwić się... cieszyć, nie wiadomo czym najpierw! — Bo i ledwo rusza się z dworca co krok — coś nowego! Szeroka — asfaltowa aleja prowadzi nas aż do Krupówek.. wesoło odbijają zielone słupy lamp — od bieli śniegu. — Na prawo muzyką nęci lodowisko, gdzie przy dźwiękach rzewnych i skocznych melodyj tańczą łyżwiarze po gładkiej tafli.

Parę kroków dalej oglądamy szeroki — z nowym oszalowaniem plac wyścigów konnych. Tłoczą się ciekawscy i pomysłowi, jak i gdzie mogą... zerkają przez szpary w płocie — a dowcipniejsi wchodzą na płot, lub płaskie dachy! Oszczędzają nawet na FISie — Bo obecnie w Zakopanem wszystko — wszędzie .. to „FIS"! Na wystawach, narty, czapki, rękawice... plecaki, kijki... z napisem „FIS". Po pysznej czarnej kawie w Europejskiej — Ziemiańskiej, lub nowej pięknie urządzonej „Wrata" zapalisz z rozkoszą tylko „FISA" — bo przecież inaczej nie wypada! Olbrzymie, pomysłowe reklamy w biurze P. T. T. — w Orbisie, na dworcu — wszystko krzyczy „FIS"!

Ale o tym wszak wszyscy mówią i piszą! Teraz jedziemy na Gubałówkę! Śliczna droga prowadzi do stacji kolejki — wysokie słupy latarni mają jako zakończenie wielką, metalową ciupagę — na której końcu wisi lampa. Po przeczekaniu cierpliwie w ogonku na bilety — runęliśmy falą nart, kijków i butów do wagonika... kto pierwszy, ten lepszy! I już jedziemy! Prosto w górę — wśród białych, iskrzących się okiści świerków, które jakby przerażone i zdziwione — wychylały po drodze ku nam swe ramiona!

Na górze wysypał się tłum... rozleciał po stoku — znieruchomiał... i ucichł!... To czar niewypowiedziany cudownej panoramy Tatr.. to wzruszenie na widok tego piękna naszego — własnego odczutego może pierwszy raz w życiu — kazał oddać hołd w milczeniu, odebrał ustom chęć do słów — do śmiechu!...

I jak ta postać — przed wejściem do budynku — szeroko rozkłada ramiona — zapatrzona w osrebrzone mgłą śnieżną szczyty... tak i każdy z nas chciałby wchłonąć — zamknąć w ramionach na długo... na zawsze — choć część tego piękna przyrody! — Nie ma co! Gubałówka udała się! — Jest „nowość" — oryginalnie, gustownie i elegancko wewnątrz w restauracji — wszelkie wygody, fajfy i dancingi — i tyle miejsca dla narciarzy! Zjazdy trudne i łatwe na wszystkie strony świata!

Zjechawszy taką łatwą, a śliczną dróżką do Zakopanego, nie daliśmy za wygraną i musieliśmy „skoczyć" na skocznię (nie na skoczni!) I tu moc zmian! Nowy stadion, wspaniały, szeroki do wejścia zaprasza nas oryginalny pomysłowy człowieczek z klocków drzewa, w kapeluszu ze słomianki, z fają z klocka w zębach. Co tu się dzieje, na tym FISie! Przychodzi nam mimo woli myśl? — jak Zakopane mogło pomieścić tych, co tu zjechali ze wszystkich stron świata! Na białym śniegu czerni się, kotłuje, że patrząc z daleka mogli się czy to ludzie — czy wielkie rozgrzebane mrowisko?

A góry też godnie powitały zawody wprawdzie nieco późną, ale strojną bielą... Na Kalatówkach piękny — można powiedzieć — luksusowy hotel daje wszelkie wygody i przyjemności turystom! My jednak — skromni, mali i starzy bywalcy kochanych gór, wolimy szklankę gorącej herbaty w skromnej bacówce lub gospodzie! — To jakoś więcej pasuje do wysmarowanych smarami nart — z nartami wiatrówek i spodni — i kanapkami z kiełbasą oraz skostniałych rąk..! Można swobodnie na prostej ławie wyciągnąć i rozprostować bolące kości — i nawet czasem posłuchać w ciszy, jak za oknem wyje wiatr, śpiewając pieśń prostą — odwieczną — niezmienną — o cudach przyrody z dala od gwaru miast i blichtru ludzkiego życia!

Maria Kulejowska.

Śp. Pius XI. - Fides intrepida



Śp. Papież Pius XI.

Rozbrzmiały żałobnym głosem dzwony kościołów rzymskich i poniosły na wszystkie krańce kuli ziemskiej wieść hiobową: Papież Pius XI. nie żyje! Głos ten odbił się echem w sercach ludzi, dla których postać Ojca św. stała się w obecnych czasach symbolem pierwiastka nadprzyrodzonego panującego nad światem skłóconym o rząd dusz i rząd nad materią. Wszelkie kwestie polityczne i społeczne, które były przedmiotem obrad przy zielonym stole lub przyczyną krwawych zamieszek, skrystalizowały pojęcie, że Watykan stał się ostoją równowagi społecznej i politycznej. A przecież jesteśmy prawie codziennie świadkami zjawisk, które, zdawało by się, zapowiadają zupełną zmianę struktury społecznej i politycznej naszego globu. Po wojnie światowej stanęły naprzeciw siebie dwa wrogie obozy totalistyczne: nacjonalstyczny i międzynarodowy, a pomiędzy nimi, poniekąd w roli amortyzatora, ustroje demokratyczne.

Na ten okres przypadło panowanie Piusa XI, który według proroctwa św. Malachiasza z początku XI w. nazwany został „Fides intrepida", t. zn. „Wiara Nieustraszona". Zaiste, trudno lepiej scharakteryzować w lapidarnym skrócie całokształt działalności zmarłego Ojca św., który dla całego świata chrześcijańskiego był największym autorytem moralnym, który, nie mając do swej dyspozycji żadnej potęgi ziemskiej, jedynie własną, nieustraszoną wiarą w swe Boskie posłannictwo — potrafił łódź Piotrowską bez uszczerbku przeprowadzić przez wzburzone fale powojennej walki o rząd dusz. Czyż to nie jego nieustraszona wiara nie była motorem działania, którego wiernym odbiciem był szereg encyklik, rozwiązujących jasno i bezsprzecznie najżywotniejsze problemy ideowe dręczące współczesnych? Encykliki te stanowiły jakby tamę broniącą świat przed zejściem na niewłaściwą drogę, wskazując zarazem z drugiej strony drogę właściwą.

Nie ma prawie dziedziny życia ludzkiego, której by nie poruszyła jakaś encyklika. Wymienimy tylko przykładowo najważniejsze z nich: Encyklika o bezbożnym komuniźmie (Divini Redemptoris) i przeciw błędom hitleryzmu (Mit brennender Sorge) występują w sposób bezkompromisowy przeciwko materializmowi, żądającemu poświęcenia się jednostki bez reszty dla państwa. Nadto encykliki te odrzucają wszystko, co jest wyrazem ducha pogańskiego lub żydowskiego, przeciwnego myśli chrześcijańskiej.

Rodzina jest podstawową komórką społeczeństwa; uzdrowienie moralne tej rodziny, scementowanie jej w myśl zasad etyki chrześcijańskiej — oto założenia encykliki o małżeństwie chrześcijańskim (Castii Connubii) i o sprawiedliwości społecznej (Quadragesimo Anno). Szczególnie ta ostatnia jest jakby dalszym ciągiem wielkiego poprzednika Piusa XI, Leona XIII. Zmarły obecnie Ojciec św. nakazał katolikom wzięcie udziału w czynnej walce o sprawiedliwość społeczną przez zniesienie wyzysku i krzywdy warstw upośledzonych.

Dla nas Polaków szczególnie piękną kartę życia Piusa XI. stanowi jego pobyt w Polsce, w czasie dla nas najcięższym, bo w okresie nawały bolszewickiej.

„Chcąc wam dać dowód głębokiego przywiązania i uznania postanowiliśmy, aby w waszym kraju zastępował Nas syn Nasz ukochany, Achiles Ratti. Wszystko za nim przemawia: gorąca miłość Boga i bliźniego, doświadczenie i zdolność orientacyjna..." — pisał w r. 1918 do biskupów polskich papież Benedykt XV, zawiadamiając ich o nominacji pierwszego w odrodzonej Polsce reprezentanta Stolicy Świętej, wówczas jeszcze tylko Wizytatora Apostolskiego. Lata następne wykazały, że powołanie do misji w Polsce Achilesa Rattiego było istotnie dowodem wielkiej dla Polaków życzliwości Benedykta XV. Wizytator Apostolski, a później pierwszy Nuncjusz w odrodzonej Polsce, mons. Ratti, okazał się szczerym i oddanym od samego początku przyjacielem naszego narodu.

Już w pierwszych miesiącach pobytu w naszym kraju, szybko zorientowawszy się w polskich stosunkach kościelnych, uzyskał od Benedykta XV nominację dziesięciu nowych biskupów polskich. Następnie przyczynia się do utworzenia nowych diecezji, gorąco popiera sprawę powstania uniwersytetu katolickiego w Lublinie, przygotowuje materiały do podpisanego w r. 1925 konkordatu.

Kiedy nawała bolszewicka zbliża się w sierpniu 1920 r. do bram Warszawy, Nuncjusz arcybiskup Ratti nie opuszcza jej murów, lecz telegraficznie prosi Papieża o możność pozostania na miejscu nawet w wypadku zajęcia jej przez nieprzyjaciela. Decyzja ta wynikała niewątpliwie z nieraz wyrażanego przeświadczenia: „Jestem przekonany, że Bóg, który w tak cudowny sposób wrócił wolność waszemu narodowi, chce przez niego swoje przeprowadzić plany i przeprowadzi je mimo wszystko".

„Jestem przyjacielem Polski — mówił kiedyś do ks. posła Kotuli. Gotów jestem tu całe życie pozostać, a nawet nic nie miałbym przeciw temu, aby na waszej ziemi złożono kości i prochy moje. Ukochałem waszą piękną ojczyznę, z racji Polski zostałem biskupem, konsekrowany na biskupa przez biskupów polskich... Ja jestem właściwie biskupem polskim".

Ostatnim dowodem serdecznego stosunku śp. Piusa XI. do naszego narodu była dokonana na Wielkanoc 1938 r. uroczysta kanonizacja św. Andrzeja Boboli, Patrona Polski, oraz przekazanie Jego relikwij m. st. Warszawie.



Pius XI. przy pracy

Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę sukces polityczny śp. Piusa XI. wyrażający się w stworzeniu Państwa Kościelnego, jako wynik „układów laterańskich" między Watykanem i Kwirynałem, to postać zmarłego Ojca św. urasta do rozmiarów męża opatrznościowego, którego działalność najlepiej charakteryzują własne jego słowa:

„Społeczeństwa... żyją pod znakiem rozdarcia, wojny, fatalizmu i awanturniczych egzaltacyj. Uginają się pod tyranią, jeśli nie polityczną, to społeczną... Wszędzie widzimy nędzę. Ciemno a wzrasta równomiernie z wiedzą. Pod osłoną wyrafinowanej cywilizacji szerzy się upadek duchowy, demoralizacja, prywatny i publiczny zanik moralności: podsycany indywidualnym i zbiorowym pogaństwem... Ratunek może przynieść tylko odrodzenie moralne na każdym polu, powrót do Chrystusa na wszystkich drogach. W Jego Miłości, jasnej i krzepiącej, znajdziemy środki zaradcze na wszystko i rozwiązanie wszystkich zagadnień".

Na całym świecie katolickim ciąży obecnie moralny obowiązek dalszej realizacji dzieła tego człowieka, którego proroczą dewizą była Wiara Nieustraszona.

Henryk Lindemann.



Ks. arcybiskup msgr. Achilles Ratti (na prawo) z Marszałkiem Józefem Piłsudskim i ks. kardynałem Kakowskim na uroczystości odsłonięcia pomnika Napoleona w dniu 5 maja 1921 r.

PIOTR ŁASTÓWNA

Dama z balu

NOWELA.

(Dokończenie.)

— A czego szanowny pan nie rozumie — spytał autor z niewinną miną.

Olimpia tymczasem nic nie wiedziała jeszcze o wyjeździe Anatola. Nie doczekawszy go się w dniu umówionym, poczęła się niepokoić, a kiedy minęło parę dni, a jego wciąż nie było wybrała, się do pracowni. Jakież wielkie było jej zdziwienie, kiedy dowiedziała się, że Chmarski opuścił Warszawę.

— Jak on mógł? — oburzała się — bez słowa pożegnania! Cóż to za nagły wyjazd? Nic nie rozumiem, doprawdy — szeptała boleśnie, wracając do domu. — Gdzie mam go szukać? Czyżby nikt nie widział, dokąd wyjechał? To dziwne. Poczekam, może napisze, powinien to zrobić i to na pewno — pocieszała siebie w tym złudzeniu, że kochający mężczyzna nie może tak postąpić.

Wierzyła mu. Była pewna jego wielkiej miłości, którą zresztą przysiągł jej. Czyżby złamał przyrzeczenie? — O nie, on nigdy tego nie zrobi — półgłosem wypowiedziała pocieszające dla siebie słowa, kiedy wróciła do swego pokoju i wpatrzyła się w jego fotografię. O, Toluś! — tak go nazywała zdrobniale — wysłała w przestrzeń wezwanie.

Nazajutrz zjawił się u niej Obłoczyński Poczciwy, o przedobrym sercu człowiek, wiedział, że nagłe zaginięcie Chmarskiego sprawi nieukojony ból Olimpii. Wyjaśnił więc jej całą sprawę, że ten musiał wyjechać za granicę, by się coś niecoś jeszcze poduczyć. Cóż za przyszłość go tutaj czekała? A tam zdobędzie trochę wiedzy i wróci do pani na pewno. Będzie pani z niego dumna, zapewniam.

— Czy pan wie, jakie to bolesne? — z płaczem żaliła się. — Żeby choć powiedział, pożegnał się ze mną. A tak cichaczem, po prostu skrył się przede mną. Podły jest... Nigdy mu tego nie przebaczę.

— Boleśniej było by rozstawać się z tą świadomością, że wyjeżdża — tłumaczył Obłoczyński. — A tak był i nie ma. Rok, dwa szybko miną, a on wróci, może jeszcze więcej kochający panią. Proszę być cierpliwą — pocieszał dziewczynę, na której twarzy widział wielkie cierpienie. — Wszystko jest na najlepszej drodze.

Chmarski po pewnym czasie zapomniał o wszystkim. Poza pracą nic nie widział. Opanowała go znana u artystów gorączka twórcza. Od czasu do czasu tylko wyszedł nad morze, by upoić się pięknymi widokami i znów wracał do swej pracowni, gdzie zaszywał się, odgradzał od świata. Miłość do Olimpii w głębi duszy trzymał jako świętość. Miał jej obraz w pamięci, na płótnie, a i rzeźbę wykańczał. Wówczas był z nią, jak gdyby w słodkim sam na sam. Ponad to zamieniali się między sobą dość często listami. Życie prowadził skromne, prawie spartańskie. Nie cierpiał tej biedy, jaką miał w Warszawie, gdyż łatwiej mógł coś niecoś tam sprzedać, ale surowo i skrzętnie oszczędzał.

W ciągu kilku miesięcy miał już spory dorobek artystyczny, którym były zainteresowane dość poważne jednostki, tak, że kiedy urządzono w akademii doroczną wystawę plastyczną, zaprozono i Chmarskiego. Za granicą występował pod pseudonimem Jaśniacha. Prace jego zyskały największe uznanie. Poczęto je nabywać masowo, płacąc dobre pieniądze, a nawet otrzymał sporo zamówień na dalsze od poważnych osobistości. Powodzenie materialne, które zasadniczo jest początkiem powodzenia i w miłości, już uśmiechało się do młodego artysty.

— Jeszcze trochę cierpliwości i wysiłku, a Olimpia będzie panią Chmarską, małżonką sławnego malarza — pysznił się. — Ot co!

Począł częściej pisywać do Olimpii listy, w których zapewniał, iż wkrótce powróci do niej, gdyż zagranica także, prócz cierpień, nic mu nie daje. Nie wspomniał ani razu o zdobytych sukcesach, przeciwnie, uskarżał się ciągle na zbyt ciężkie warunki materialne.

— Przecież on taki niezaradny — wzdychała ciężko — cóż poczniemy, kiedy wróci? Ale przecież wróci ze studiów obcego kraju i zdobędzie od razu popularność — pocieszała się w kobiecej naiwności.

Często spotykała się z Obłoczyńskim. Lubiła wspólnie z nim gawędzić o Anatolu, a nawet od czasu do czasu wręczała mu pieniądze, by je posłał niby od siebie, przyjacielowi. Kochała go bardzo, troszczyła się i cierpliwie czekała lepszego jutra, które ma jej zwiastować jego powrót.

Tak upłynęły dwa lata.

Chmarski poczuł się już mocno na siłach. Zdobył wiedzę, sławę i wielkie pieniądze. Postanowił więc wrócić do kraju, by wreszcie zrealizować swoje zamiary.

Owacyjnie żegnany przez otoczenie, pewnego dnia opuścił kraj, z którego wiózł na całe życie dla siebie i swej ukochanej szczęście. Radował się w duszy, że teraz przeszkód nie będzie żadnych. Swobodnie będzie mógł połączyć się z Olimpią węzłem małżeńskim i pędzić spokojnie i szczęśliwie żywot.

O powrocie swoim nie zawiadomił nikogo. Pragnął do ostatka czynić niespodzianki. Wprawdzie zajechał do Obłoczyńskiego i zatrzymał się, przedstawił mu całą sprawę, przyznał się do zdobycia wszystkiego, co potrafił w tak krótkim czasie, lecz prosił, by ten nic na razie nie mówił nikomu, zwłaszcza Olimpii.

— Niech mnie ujrzy nadal takim samym, jakim byłem wpierw. Chcę doświadczyć, czy miłość jej do mnie naprawdę jest tak wielka — mówił. — Ogniowa próba uczucia.

— Bądź spokojny, zachowam to w tajemnicy największej — upewniał go Obłoczyński.

Nazajutrz Chmarski zadzwonił do Olimpii. Nie wierzyła początkowo, że słyszy głos najdroższego. Niewymowną radością zabiło jej serce.

— Jak to, czyżby naprawdę już był w Warszawie? I za chwilę zobaczę go? — radowała się, żywo biegając po pokoju, szykując się na spotkanie.

Chmarski ubrał się jak najskromniej, ale gustownie i wyszedł do Olimpii. Przywitali się serdecznie.

— Toluś, jak jestem rada, że widzę cię wreszcie — słodko szeptała mu oddana i rozkoszna — tęskniłam za tobą....

— Ja także.

Przeszli się ulicami. Po tym posiedzieli w ogrodzie. Mieli przecież tak wiele sobie do powiedzenia! Olimpia z troską pytała o jego cierpienia na obczyźnie. On chętnie opowiadał. Nadeszła wreszcie późna godzina. Odprowadził ją do domu, gdzie przy pożegnaniu, pierwszy raz w czasie swej wielkiej i czystej miłości, ucałowali się. Byli przecież tak bardzo spragnieni siebie.

Po kilku dniach Chmarski wyjechał. Nie powiedział o swych zamierzeniach ani koledze, ani Olimpii. Wyjechał w okolice nadmorskie, gdzie tam i ówdzie obejrzał posiadłości na sprzedanie. Szybko udało mu się dobrać odpowiednią osadę, gdzie by mógł spokojnie pędzić żywot, otoczywszy troskliwą opieką swą najdroższą.

Czynił to wszystko w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi. Wyjeżdżał często, gdyż tego wymagały sprawy umawiania się. Wreszcie skończył transakcję. Nabył posiadłość niewielką wprawdzie, ale jak dziwnie miłą i utulną. Piękny stary sad, wśród którego widniał biały pałacyk. Począł urządzać to wszystko nowocześnie. Odnowił, doprowadził sad do porządku, wybudował nawet garaż na samochód.

Cieszył się, lubował, układając w myśli, w jaki sposób przywieźć ją tutaj tak, by do ostatniej chwili nie wiedziała o niczym. Może przecież już działać otwarcie. Ogrodnik był, służba także, ba. nawet szofer, choć miał dopiero kupić „Fiata", co oczywiście spełnił następnego dnia. Więc na cóż jeszcze miał czekać?...

I przy pierwszym widzeniu się z Olimpią oświadczył, że pragnie, by została jego na zawsze.

— Toluś, zrozum — poczęła się bronić — jesteśmy młodzi, nie poradzimy sobie sami Rodzice nie pomogą, wiem o tym dobrze. Posady nie mam, ty także. Więc jakże zagospodarzymy się? Zastanów się. Przyznasz mi rację.

— Ot, jakoś tam będzie — tłumaczył. — Chcę, abyś zdecydowała się w krótkim czasie.

— Nie można tak nierozsądnie.

— Musisz mi zaufać.

Spojrzała mu w oczy dogłębnie:

— Czy naprawdę możemy być szczęśliwi? Nic nie odrzekłszy, przytulił ją mocno.

— No, dobrze — szepnęła mu w usta.

Dziwna wiara w nią wstąpiła.

Tym pocałunkiem złożyli sobie przysięgę.

— Ubierz się na jutro rano pięknie. Tak, jaką lubię cię widzieć, wiesz.

Nazajutrz przed dom Olimpii zajechała limuzyna, prowadzona przez Chmarskiego.

Olimpia wyszła.

Przemknął ją zachwyt i niedowierzanie. Czyż by?

Przywitawszy najdroższego, usiadła obok niego zaskoczona tą miłą niespodzianką.

— Dokąd mnie wykradasz? — spytała przekornie.

W odpowiedzi zawarczał motor.

Za osada stał w oddali kościółek. Cały w zieleni, wystrzelał w niebo smukłymi wieżami.

Gdy podjechali blisko, rozległ się głos dzwonów, niczym najsłodsze powitanie.

— Teraz rozumiesz? — spytał Chmarski, patrząc jej w oczy.

Mrugała powiekami w zakłopotaniu.

— Niezupełnie — odparła szczerze.

Ujął jej dłonie i ucałował.

— Zgadzasz się, byśmy w tym kościółku uświęcili swą miłość?

Przytuliła się doń w gwałtownym porywie oddania i szacunku...

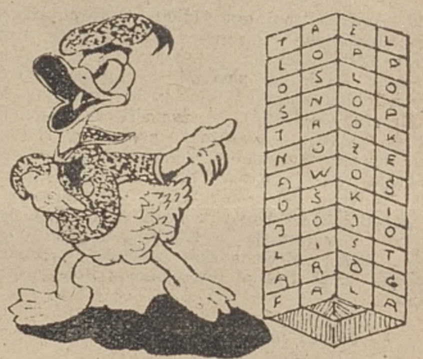
KONIEC.

Chwila zastanowienia

LOGOGRYF

Ul. F. Gałecki (Czł. War. Kl. Szar.).

Poprzestawiać wyrazy tak, by pierwszy rząd i ostatni — czytane w dół — dały rozwiązanie.



KONIKÓWKA

ul. W. Golimuntowicz

ło	więc	wie	nie	miecz	cuj
zbyt	nie	nie	pra	cia	ło
le	dość	we	'ę	i	mść
raz	doj	rość	ży	śmierć	nie
mło	se	dość	żą	sła	od

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja przyznaje nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 3 marca br.

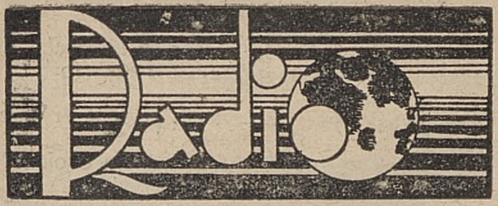
Rozwiązanie zadań z nr. 7 „Moich Powieści":

I. Konikówka: „Owoc doświadczenia jest gorzki, ale zdrowy".

II. Bilety wizytowe: 1) „Jerychonka", 2) „Martwe dusze", 3) „Szary człowiek".

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kawecki Wincenty — Modzerowo, Golimuntowicz Wanda — Dukla, Kowalski Leon — Poznań, Gruszka Jan — Katowice, Golas Maks — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Kowalskiem z Poznania i Gruszce z Katowic.



Niedziela, dnia 26 lutego 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Nabożeństwo z kościoła parafialnego w Miechowie 12.03 Poranek symfoniczny z Poznania 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna. — W przerwie około 13.45 audycja słowno-muzyczna „Radio w świetlicy" 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert kwartetu wokalnego Kedrowa 17.10 „Drobiazgi" — opowiadanie M. Dąbrowskiej 17.30 „Piękna Galatea" — operetka Poly Henriona 18.40 Koncert w wykonaniu orkiestry Rozgłośni Poznańskiej 19.20 „Szymon Konarski" (W 100-tną rocznicę stracenia) 19.30 Słynni wirtuozi — koncert z płyt 21.20 Muzyka lekka i taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry 21.50 „Mistrzostwo Psiej Trawki" — słuchowisko 22.30 Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, dnia 27 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.20 Menuety — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 „Opera" — audycja muzyczna dla liceów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Awantura o Basię" 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 17.05 Wielkie stolice Europy: „Berlin" — pogadanka 17.20 Mazury i polki Nikonowicza, twórcy chorału — audycja słowno-muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Muzyka z płyt 19.00 koncert rozrywkowy 21.00 Recital śpiewaczy Marii Berenitta 22.00 „Dzieje symfonii" — audycja słowno-muzyczna.

Wtorek, dnia 28 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Aleksander Głazunow: Cztery pory roku — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 „Wszędzie jest życie — i na pustyni" — pogadanka 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Pieśni z Doliny św. Krzyża (Missisipi) — koncert 17.00 „Od Jordanu do Libanu" — wrażenia z podróży 17.15 Kwadrans dawnej muzyki — koncert 17.30 „Z pieśnią po kraju" — audycja 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert muzyki polskiej 21.00 Koncert T-wa Miłośników Dawnej Muzyki — transmisja z Konserwatorium Warszawskiego 22.00 „Przechadzki Ateńskie": „Powrót z Akropolii" 22.25 Recital fortepianowy Bolesława Woytowicza.

Środa, dnia 1 marca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Koncert rozrywkowy 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Krakowa 16.20 Dom i szkoła: „Dzieci spokojne i małomówne" 16.35 Włoskie pieśni ludowe — koncert kapeli ludowej 17.15 Koncert solistów 18.30 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Czy szkoła zabiera dziecko rodzinie?" 19.00 Koncert rozrywkowy z Katowic 21.00 Opowieść o Chopinie 21.40 Słuchowisko regionalne: „Podkoziołek" 22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich — koncert.

Czwartek, dnia 2 marca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych: „Z szumem Niemna i Wilejki" 11.25 Billy Mayerl gra własne utwory — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 „Wszędzie jest życie i w grotach podziemnych" — pogadanka dla młodzieży 15.15 Kłopoty i rady: „Pani Nelly urządza brydża" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.20 „Na folwarku" — audycja dla młodzieży licealnej 16.40 Ravel - Milhaud — koncert 17.30 Recital organowy Aleksandra Kozłowskiego 18.00 Co postanowiła młodzież z Lubotyna — audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Muzyka lekka i muzyka poważna — gawęda 19.00 Z filmów i rewii — koncert rozrywkowy 21.00 Pochodnie wieków: Kolumb 21.40 Muzyka 22.05 „Hej ty Wisło" — suita Mariana Rudnickiego (koncert transmitowany do Anglii) 22.30 Muzyka lekka 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 3 marca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Piosenki w wykonaniu Dusoleny Giannini i Tito Schipy 12.03 Audycja południowa 15.00 Zagadka historyczna dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.35 Utwory fletowe w wyk. Henryka Bartnikowskiego 16.50 Dzieje elektryczności na tle rozwoju nauki — odczyt 17.05 Pieśni wielkopolskie — koncert 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Poezja wieku złotego — kwadrans poetycki 18.50 Muzyka lekka 19.30 Muzyka polska i szwedzka (transmisja do Szwecji i ze Szwecji 20.10 Muzyka lekka 21.00 Recital śpiewaczy Mieczysława Saleckiego 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Publicystyka a literatura" — szkic literacki 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 4 marca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Lekkie wiązanki — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci „O królewnie Kasi i 7-miu leśnych krasnoludkach" 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Muzyka z płyt 16.45 „Narcyza Żmichowska" — felieton 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert rozrywkowy 21.00 „Przy sobocie po robocie" — audycja rozrywkowa ze studia w Polskiej Y. M. C. A. 23.15 Melodie taneczne.



PRZY 20 KIELISZKU

— Więc idę proszę państwa wieczorem przez most. Patrzę... idzie Antek. Więc ja mówię: „Jak się masz Antek". A on do mnie: „Jak się masz Stasiu". Więc ja do niego, że nie jestem Stasiem... a on do mnie: „A ja nie jestem Antkiem".

Przyglądamy się sobie z bliska, a to ani nie on, ani nie ja, tylko dwaj nieznajomi.

TROJE

Żona trochę zawstydzona mówi do męża:

— Najdroższy, wiesz, że wkrótce będzie nas troje.

— Tak? Czego wstydzisz się? Trzeba było mi to wcześniej powiedzieć.

— Bo ja dopiero dzisiaj dostałam list.

— Co? List! Od kogo?

— Mama pisze, że zrywa z tatusiem i sprowadza się do nas na stałe.

PROSZĘ SIĘ NIE PRZEJMOWAĆ

— Nieprawdaż proszę pana, że moja córeczka jest zupełnie do mnie podobna?

— O niech się szanowna pani tym nie przejmuje, ona z latami wyładnieje.

ZMARTWIENIE MOSZKA

Moszek przychodzi do rabina po radę.

— Przyszedł do mnie, rebe, jakiś miglanc i mówi, że kocha moje Salcie i chce się z nią żenić... i żebym ja się rozwiódł. A ja jemu mówię: ty spytaj moje Salcie nie mnie.

— To poco potrzebowałeś do mnie przyjść? — pyta rabin.

— Poto rebe, żebyś mi poradził co ja mam robić, gdy moja Salcia nie zgodzi się.

OPRÓCZ NICH

Przed sądem staje defraudant. Sędzia poznaje w nim swego dawnego szkolnego kolegę. Korzystając z przerwy, udaje się dyskretnie do pokoju dla aresztowanych, gdzie przebywa oskarżony.

— Jak się masz? — pyta go ze wzruszeniem Co robią nasi starzy koledzy: Janek, Kazik, Stach?

— Oho, wszyscy już siedzą, oprócz nas dwóch.

•

TO CO INNEGO

— Jak sądzisz, czy ten krawiec uszyje mi na kredyt ubranie?

— Hm, a czy on ciebie zna?

— Nie.

— No, to może uszyje.

ALE TEGO NIE WIEDZIAŁ

Młoda żona mówi do męża zaraz po ślubie:

— Najdroższy, muszę ci się do jednej rzeczy przyznać, o której właściwie powinnam była ci już dawno powiedzieć: wszystkie moje zęby są sztuczne.

— Nie szkodzi, kochana — odpowiada młody mąż — Wiedziałem o tym.

— Ale to jeszcze nie wszystko. Muszę ci się przyznać do czegoś, o czym na pewno nie wiedziałeś.

— Co mianowicie?

— Moje sztuczne zęby są dotychczas jeszcze niezapłacone.

W SĄDZIE

Sędzia: — Świadek widział, że dwaj pijacy rzucają się na ciebie z krzesłami w ręku i mimo to nie starał się ich pogodzić.

Świadek: — Chciałem wysoki sądzie, tylko w pokoju nie było trzeciego krzesła.

„DOMOWY LEKARZ"

— Słyszałem, że odkąd ożeniłeś się, nie chodzisz do baru.

— Tak, bo mój domowy lekarz zabrania mi pić... A ty chodzisz nadal.

— Ja też nie, bo mój domowy lekarz chowa mi wieczorem buty i nie mam w czym wyjść.

NIE MA RÓŻNICY

— Podobno brunetki mają lepsze serca niż blondynki.

— Nie wierzę. Moja żona była już i brunetką i blondynką a zawsze jednakowa.

ZAKOCHANY

— Wiesz, to była najstraszliwsza chwila w moim życiu. Chciałam już popełnić samobójstwo, ale miałam za mało pieniędzy by kupić rewolwer.

— Miałaś za mało pieniędzy! Biedactwo drogie, trzeba było mi powiedzieć, to bym ci dał.



Właściwy trening...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską : za granicą miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P K O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm. szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.